

ROK I. NR. 2

WARSZAWA

SOBOTA

14-X-1933 R.

CENA 50 GR.

# PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

JULJUSZ KLEINER

## GODZINY JĘZYKA POLSKIEGO A BUDOWANIE KULTURY

Budowanie nowej kultury polskiej — oto zadanie, które narzuca wielkość burzliwych i ciężkich dni epoki współczesnej, epoki tworzenia nowego świata. Uświadamiać je sobie należy tem silniej i tem częściej, im bardziej zagraża jego spełnieniu obojętność i bierność, ogarniająca wielu wśród nadmiernego natłoku faktów dziejowych, wśród nadmiernego brzemienia trudnych warunków bytu codziennego, wśród pędu chaotycznych — zda się — fal życia zbiorowego ludzkości, co miast wysiłku twórczego wywołują w niejednym zmechanizowanie bezwładu.

Świadomość owego zadania kieruje dokonywaniem się teraz dziełem przebudowy szkolnictwa. I znowu zaznacza się niebezpieczna bezwładna siła obojętności: gdy w zamkniętym kręgu pracowników kuje się formy nowe — zamała towarzyszy pracy tej swą myślą ogół kulturalny.

W szeregu zagadnień, które nasuwać może przebudowa szkoły, jednym z naczelnych jest problemat roli, mającej przypaść godzinom języka polskiego. Nowe programy, nowe podręczniki świadczą o szukaniu dróg nowych — częścią na podstawie samodzielnego uwzględnienia postulatów epoki naszej i naszego bytu państwowego, częścią za przykładem głęboko sięgających reform w szkolnictwie innych narodów.

Rzecz to wielkiej wagi, by i w planach ustalonych nauki i, co jeszcze skuteczniejsze, w działalności nauczycieli polonistów panowało całkowite zrozumienie wyjątkowego stanowiska, jakie w obrębie czynników wychowawczo-dydaktycznych zdobyć winien język polski.

Stanowiska wyjątkowego. Bo jakkolwiek narówni z innymi przedmiotami ma i on dostarczyć zasobu wiedzy pozytywnej, jakkolwiek musi stosować się do zasady, że zamierzone przez szkołę rozwijanie myśli zależne jest od tego, czy młodzież ma opanowany należycie materiał do myślenia, i że udzielanie wiedzy zawsze stanowi linię zasadniczą pracy szkolnej — nie jest on przedmiotem równorzędnym w zespole przedmiotów.

Gdy materiał innych przedmiotów, takich jak historia, geografia, matematyka, biologia, zgóry jest określony, materiałem w zakresie języka ojczystego będzie wszystko, cokolwiek może wyrażone być słowem, czyli — całe bogactwo życia.

Inne przedmioty, o ściśle określonych sferach zagadnień i metod, stają nie wobec nieodróżnicowanego bogactwa rzeczywistości, ale wobec pewnych dokładnie wysonbionych jej działów, wobec spreparowa-

nych jej wycinków, wobec skonstruowanych schematów — za pośrednictwem rodzimego słowa młodzież ma zetknąć się ze strumieniami życia w ich nieuszczerpionej całości i różnorodności i jednolitości, ma spotęgować w sobie naturalne, spontaniczne ustosunkowanie się do zjawisk — takie właśnie, którego spotęgowanie jest postawą duchową artysty.

To też inne przedmioty muszą kształcić specjalne typy nastawienia umysłowego i przelamywać opory psychiczne. Walczą z oporem psychicznym, szczególnie nawet silnym, i te, które należą do sfery słowa, ale słowa obcego — języki obce. Nie tkwi w owym przelamywaniu cecha ujemna. Wychowanie i wykształcenie musi być przewyciężaniem oporów psychicznych. Lecz niechaj korzysta ono z tych wyjątkowych możliwości, jakich dostarczą przedmiot, idący torem spontanicznych tendencji psychiki młodocianej. A właśnie nauczanie języka ojczystego odpowiada naturalnym zainteresowaniom dziecka: ciekawości w stosunku do opowiadań ustnych i książek, żywemu zajęciu się zjawiskiem zaobserwowanym, chęci wypowiedzenia się, żądzy wyrazu.

Odrębne owe, niezwykle cenne warunki sprawiają, że język ojczysty służyć winien nie tylko bogaceniu wiedzy, ale przede wszystkim kształtowaniu odpowiedniej postawy psychicznej wobec świata, rozwijaniu różnorodnych typów reakcji psychicznej. Uczyć winien, jak się pełnią władz psychicznych reaguje na pełnię życia.

Takie reagowanie na życie pełnią duszy reprezentuje sztuka — zwłaszcza najdostępniejsza dla wszystkich — sztuka słowa. Jej dzieła — te, które jedynie mogą być w całości odczute i zrozumiane, te, których materiał słowny jest dla młodzieży czemś żywym, zrosłem z nią samą, dzieła języka ojczystego wieść będą do wspomnianego celu.

Oczywiście nie ma to bynajmniej nadawać godzinom języka polskiego cech jakiejś uczuciowej rozwiewności i rozlewności. Kościec intelektualny zawsze zostanie podstawą nauki. Słowo jest nie tylko organem wyrażania, jest również organem pouczenia. I będzie nadewszystko uczyło o tem, co z jego życiem własnym związane. Będzie materiałem poznania organizmu języka — i będzie drogą do poznawania kultury polskiej. Ten cel poznawczy nie może jednak przesłonić innych zadań. Nie może — co najważniejsze — wieść do tego, by dzieła literackie stawały się tylko dokumentami, mówiącymi o czemś, co jest leżącą poza nimi rzeczywistością. Dzieła

sztuki wspomagają wniknięcie w historję, ale nie to ich racja bytu, że są źródłami, świadectwami dziejowymi. Przyklasnąć trzeba tendencji, by rozszerzyć widnokręgi kulturalne, które otwiera język polski. Nie wolno wszakże celom tym poświęcić jego samoistności. Nie wolno czynić nauki języka polskiego przedmiotem pomocniczym historii. Współdziałać będzie ona stale z historją, to pożądane istotnie — ale jako *ancilla historiae* zatraciłaby swą własną logikę. Pamiętać dziś o tem należy, dziś, gdy walka z historją literatury przeszła dziwnie w chęć — podporządkowania literatury, którą pozbawia się historii własnej, ramom ogólnym historii.

Z dziejami narodu związany nierozdzielnie, mieszczący ich syntezę w swym skarbcu i w swych naczelnych twórcach — język polski służyć będzie wrastaniu w tradycję narodową, wrastaniu duchowemu młodzieży w organizm państwa nie tylko przez udzielanie wiadomości, lecz głównie przez uczynienie wszystkiego, co polskie, zajmującym i miłym, przez otoczenie polskości dodatnią atmosferą uczuciową, przez duchowe zbliżenie do wybitnych postaci współczesnych i dawnych. To będzie też jego rola jako czynnika propagandy w stosunku do młodzieży innych narodowości, dla której szkoła polska winna stać się miłą właśnie dzięki swej polskości.

Nie idzie oczywiście o narzucanie uczuć. Tylko treść intelektualną może szkoła narzucić nauczaniem. Idzie o nadanie godzinom tonu odpowiedniego. Jak na lekcjach religii — nie wolno młodzieży znużyć, zrazić, zniechęcić. Jeśli niechęć wzbudzi nauka łaciny, chemii, geometrii, będzie to wynik wielce niepożądany, lecz nie wypaczy on linii życia. Zniechęcenie do świata kultury polskiej zniszczyłoby wartość wychowawczą szkoły.

Poziom odpowiedni nauczania języka polskiego przygotuje teren do stworzenia w społeczeństwie całem żywego kontaktu z literaturą, żywego kontaktu ze sztuką.

A rzecz to doniosła w budowaniu kultury. Sztuka, przestwór najwyższej swobody indywidualnej, najłatwiej stwarza u ludzi kulturalnych solidarność z narodem — i z ludzkością. Sztuka uczy cenić wartości, które każdy może zdobyć, nie odbierając ich nikomu, które stoją poza sferą walki o byt. Sztuka, dając ukochać twory, same sobie będące celem, zbliża ku wartościom absolutnym, zaspokaja szukającą ich właśnie tęsknotę metafizyczną i — rozbudza ową tęsknotę, która podnosi człowieka. Sztuka kształci najdonioślej-

T R E Ś Ć

JULJUSZ KLEINER

GODZINY JĘZYKA

POLSKIEGO

A BUDOWANIE

KULTURY

JERZY OSTROWSKI

KOMPLEKS „ND”

KONRAD WINKLER

DRZEWORYTY

WŁ. SKOCZYŁASA

Z NIEDRUKOWANYCH

RĘKOPISÓW

STANISŁAWA

PRZYBYSZEWSKIEGO:

SZTUKA POLSKA

W POLSKICH

KOŚCIOŁACH

LEON CHWISTEK

NIEWOLA

DUCHOWA

ZOFJA NAŁKOWSKA

MACIERZYŃSTWO

WŁ. SŁOBODNIK

„SZTUKA”

W I E R S Z

J. E. SKIWSKI

NIE TE CZASY

TAD. STERZYŃSKI

NOWE TORY

ZDROWEGO

ROZSĄDKU

WŁ. ZAWISTOWSKI

NA SCENACH

STOLICY

K 1669/86/50

Wydawnictwo  
PWN  
Lublin

szą w rozwoju zdolność — zdolność skupienia wewnętrznego, zatracaną w dzisiejszych czasach ścierania się i prószkowania dusz wśród wiru rozpedzonej maszyny świata. I wreszcie — mnoży ona niezmiernie sumę radości życia.

W mniemaniu tych, co i jej sferę wciągają w obręb poglądów pesymistycznych, jest ona ucieczką od niszczącego życia, jest ratowaniem się w chwili udęczenia, lekar-

stwem duszy chorej, znekanej, często — znekanej zbiorowości. Ze zaś ratuje od upadku porywaniem na wyżyny, o tem wiedzą spadkobiercy romantyzmu polskiego.

A w oczach patrzącego optymistycznie — wielka sztuka jest najpotężniejszą formą upajania się życiem, jest jakimś rozradowaniem metafizycznym, na którego

wyżynach znika przeciwieństwo szczęścia i nieszczęścia, przyjemności i przykrości, bólu i rozkoszy, zła i dobra. Wznosi się ponad rozdziewiki i przepaści na podobieństwo słońca, świecącego na sprawiedliwe i niesprawiedliwe — i dzięki temu współdziałać może z religią w przewyżczeniu bolesności istnienia i koić i krzepić i umacniać — i współdziałać w kształtowaniu duchowym człowieka.

Od szkoły wymaga jedynie zdjęcia kłopotu i doprowadzenia do otrzymania świadectwa dającego pewne uprawnienia. To też przedstawiciele sfer rodzicielskich, poza małymi wyjątkami, interesują się w szkole tylko tem, co utrudnia lub ułatwia otrzymanie tego świadectwa. Zainteresowania treścią nauk i metodami pracy szkoły, zainteresowania zagadnieniami wychowania — niema. Jeżeli wygłasza się jakiegokolwiek sądy o metodach dzisiejszej szkoły, to sądy te — prawie z reguły — są konserwatywne i krytyczne, operujące — jako argumentem — apoteozą dawniejszej szkoły. W społeczeństwie — stwierdzić to należy głośno — istnieje zupełne niezrozumienie drogi, którą kroczy szkoła dzisiejsza; drogi, która — według rozumienia szkoły — tworzy nową rzeczywistość i nowego człowieka, a — według rozumienia społeczeństwa — jest conajwyżej niepoważnym, chybionym eksperymentem.

Spółeczeństwo nie usiłuje poznać ani podstaw teoretycznych ani techniki pracy dzisiejszej szkoły. Nie zdarza się, aby ktoś z rodziców zainteresował się i próbował zwiedzić, zbadać tę szkołę, a również rzadką jest próba zapoznania się z literaturą, któraby miała zresztą poważne znaczenie dla samych rodziców — pierwszych i naturalnych wychowawców. Gdyż pewnym paradoksem jest, że wychowawca obcy nie przystępuje do swej pracy, zanim nie otrzyma odpowiedniego przygotowania, a ci zaś, którym najbardziej chodzić winno o wychowanie swych dzieci — nie troszczą się zupełnie o dostateczne przygotowanie do swego zadania, uspokajając się wygodnie paradoksami: o rozbieżności między teorią a praktyką i nauką a sztuką wychowania, o wszechstronnej skuteczności „instynktu macierzyńskiego”, o nieskuteczności wychowania wogóle wobec sformowanej rzekomo od dzieciństwa wrodzonej indywidualności lub o „niebezpieczeństwach zbytniego wychowania”.

Człowi przedstawiciele społeczeństwa — pisarze i dziennikarze również nie znajdują dość uwagi dla szkoły dzisiejszej. W prasie sprawy te są poruszane nadzwyczaj rzadko i to przeważnie od strony sensacji, związanej z jakimś wypadkiem na terenie szkoły. Wyrazem zaś rzekomej troski o los młodzieży jest conajwyżej tania demagogia, atakująca z reguły nauczyciela w obronie ucznia, choćby interes społeczny zmuszał nauczyciela do wystąpienia wobec jednostki szkodliwej dla społeczeństwa szkolnego.

Studiów nad szkołą, badań, reportaży z tej dziedziny nie przeprowadza się, a co dziwniejsze — w sferach literackich — panuje zupełny brak zainteresowania i nieznanomość literatury psychologiczno-pedagogicznej, która powinna być tak bliska pisarzowi. Nie ujmując bowiem znaczenia talentowi, intuicji i darowi obserwacji, przypuścić można, że psychologia mogłaby być tem dla pisarza, czem anatomja dla rysownika. Tymczasem dziedzina ta — poza może fragmentami sensacyjnej a krytycznie już dziś traktowanej teorii Freuda, — czerpaniem z drugiej i trzeciej ręki — jest najzupełniej obca twórcom, których terenem i materiałem jest właśnie psychika człowieka.

Brak zainteresowania zagadnieniami szkolnymi jest tem dziwniejszy, że przecie nie kto inny, jak nauczyciel zapoznaje młode pokolenie z dziełami pisarza. Poza tem młode pokolenie, przebywające w szkole — to „czytelnik, który nadchodzi”; kontakt ze szkołą dałby napewno pisarzowi również lepszą znajomość tego czytelnika, o którym dzisiejszy pisarz polski nic prawie nie wie, tworząc prawie wyłącznie dla czytelników swego pokolenia.

JERZY OSTROWSKI

## KOMPLEKS „ND”

Powodzenie „Sztuby” Leczyckiego na kilku kolejno scenach polskich, zainteresowanie wśród publiczności i życzliwe przyjęcie jej przez prasę — są to zjawiska już nie wyłącznie teatralne i literackie ale przedewszystkiem społeczne. Są to zarazem zjawiska domagające się wyciągnięcia pewnych wniosków. Są dwie bowiem możliwości: albo sztuka ta trafia w sedno i staje się groźnym memento dla pracowników szkolnych, memento wymagającym natychmiastowej konkretnej działalności w kierunku sanacji stosunków, albo sztuka ta uderza w próżnię i stwarza fałszywy obraz rzeczywistości, alarmując niepotrzebnie społeczeństwo a krzywdząc nauczycielstwo, przeciwko czemu winien był podnieść się protest.

Sądząc nietylko po samej sztuce, co po przyjęciu jej przez społeczeństwo, należałoby wnosić, że to krytyczne ujęcie dzisiejszej szkoły polskiej jest trafne i na czasie. Życzliwe bowiem przyjęcie sztuki zawierało temsamem wyraźne potępienie i niechęć do stosunków szkolnych, struktury nauczania i samego nauczycielstwa. Należałoby wyciągnąć wniosek, że sprawa szkolna w Polsce dojrzała do publicznego jej osądu, że wykazuje ona wyraźne objawy chorobowe. Należałoby wnosić dalej, że społeczeństwo oddawna śledzi drogę, którą kroczy szkoła, że interesuje się żywo jej pracą i wyrobiło sobie w rezultacie zupełnie sprecyzowany i zdecydowany ujemny sąd o niej. Dlatego też sztuka owa byłaby wyrazem już dawno nurtujących uczuć i poglądów, i została przyjęta z zapalem, jako próba przewietrzenia dusznej atmosfery. Należałoby wreszcie wnosić, że samo nauczycielstwo czuje się winne, nie odezwalo się bowiem na szerszym forum w obronie szkoły i w swojej obronie, przyznając tem niejako, że postacie nauczycieli ze „Sztuby” są typowymi dla dzisiejszych pedagogów.

Z drugiej jednak strony są dane pewne przesłanki sprzeczne z temi wnioskami, bez rozpatrzenia których nie można wydać ostatecznego sądu.

Przedewszystkiem więc stwierdzić należy, że zarówno w dziedzinie teorii jak praktyki pedagogicznej w całym świecie kulturalnym panuje dziś wielkie ożywienie i twórczość. Podstawą tego ruchu jest w pierwszym rzędzie rozwój psychologii. Psychologia, która do niedawna była nauką spekulatywną — stała się doświadczalną. Z ogólnej, badającej tylko zjawiska przeciętne, powszechne — stała się różniczkową i indywidualną, zbliżając się przez to do rzeczywistości. Z atonistycznej — rozpatrującej człowieka, jako zbiór poszczególnych zjawisk psychologicznych — stała się strukturalną, widzącą w człowieku osobowość o jednolitej strukturze, choć działającą różnorodnie. Z czysto intelektualnej stała się emocjonalną i woluntarną. Z badającej tylko zjawiska świadome i nawet identyfikujące pojęcia: świadomość i psychika — stała się nauką,

zwracającą wydatną uwagę na zjawiska podświadomości, a nawet wkraczającą — nieśmiało tymczasem — poprzez badania zjawisk podświadomości, w dziedzinę zjawisk nadnormalnych „metapsychicznych”.

Dzięki tym nowym kierunkom psychologii, rozwinął się m. in. bogaty dział studiów nad psychiką dziecka, stanowiący oczywiście jedyną racjonalną podstawę do rozwijania tej psychiki — to jest do nauk pedagogicznych i organizacji szkoły. Toteż obserwuje się dziś wielkie ożywienie na praktycznym terenie szkolnym; panują powszechnie tendencje reformatorskie, tendencje podniesienia poziomu szkoły i oparcia jej struktury na naukowej, racjonalnej podstawie. Zjawia się szereg koncepcji i systemów nowej, twórczej i radośnej szkoły: Kerchensteiner, Gandig i Dewey są apostołami metody „szkoły pracy”, Férrière propaguje „szkołę aktywną”, Stevenson tworzy „metodę projektów”, Decroly metodę aktywną „ośrodków zainteresowania”, Carleton Washburne tworzy specjalny system w Winnetka, Helena Parkhurst — w Daltonie, szkoły austriackie są zreformowane pod znakiem „metody łącznej” wzgl. „syntetycznej” (Gemeinunterricht), w Szwajcarii powstają liczne szkoły na wsi, szkoły-ogniska (Landsheimy) i t. d. Postulaty realizowane w tych szkołach w pełnym zakresie, przenikają również do szkół zwykłych, gdzie są uwzględniane w dostępnym stopniu, wpływając coraz intensywniej na metody pracy szkolnej. Zamiast bezmyślnego „kucia” — wprowadza się metody doświadczalne, laboratoryjne, poszukujące. Zamiast werbalizmu — wprowadza się konkretną działalność uczniów, eksperymenty, wycieczki, zwiedzania, kolekcje, modelarstwo, szkicowanie, studjowanie tekstów historycznych, samodzielne studia i opracowywanie referatów. Obok tradycyjnej tablicy i podręcznika — zjawiają się w szkole retorty, mikroskopy, dluta i heble i wkracza też triumfalnie do szkoły kinematograf.

Zamiast suchej i wrogiej dyscypliny, panującej dawniej w szkole — zjawia się i rozszerza coraz bardziej rewolucyjna nowość: samorząd uczniowski. Zamiast duszenia ucznia w dusznych klasach i ciasnych mundurkach — ubiera się młodzież w kostjumy lekkoatletyczne i wyprowadza na boiska, udostępniając uprawianie wszelkich sportów.

Śmiało stwierdzić można, że po okresie sui generis średniowiecza w szkole, przeżywamy obecnie jej renesans. I tem właśnie rozkwit szkolnictwa, to szukanie coraz lepszych dróg, to osiąganie wyników pracy — ma tak wielką siłę atrakcyjną dla pracowników szkolnych, że nie zniechęcają się do niej, mimo katastrofalnych nieraz warunków materialnych, kulturalnych, w których żyją, a obojętności i niechęci ze strony społeczeństwa.

Szkolnictwo polskie również nie jest poza nawiasem tego renesansu. Polacy z sa-

mego swego usposobienia są bardziej predestynowani do konkretnej pracy społecznej niż twórczości abstrakcyjno-filozoficznej. To też historia szkolnictwa w Polsce ma piękną tradycję i zawiera tak ważne pozycje jak pierwsze ministerstwo oświaty w Europie. W czasach niewoli szkoła polska spełniała wielką służbę narodową, a od czasu uzyskania niepodległości — rozpoczęła się olbrzymia praca nad budowaniem nowej szkoły polskiej.

W pracy tej wzięły udział wielkie rzesze ideowego i inteligentnego nauczycielstwa oraz władze oświatowe, których nastawienie jest w swoim rodzaju jedyne w Europie. Jeden z gości zagranicznych, studujących szkolnictwo polskie, ujął ciekawie i trafnie stosunek władz oświatowych społeczeństwa w Polsce do spraw szkolnych: stwierdził on mianowicie, że w krajach zachodu, obarczonych tradycją, władze są czynnikami hamującymi rozwój i postęp szkolnictwa, którego się domagają społeczeństwa, natomiast w Polsce jest odwrotnie: administracja i nauczycielstwo realizuje nowe prądy wychowania, zaś społeczeństwo jest usposobione do nich opozycyjnie i konserwatywnie. Jest to coś w rodzaju „rewolucji zgóry”.

Ta postępową atmosferę wśród władz szkolnych i godną doprawdy szacunku praca nauczycielstwa dała proporcjonalne rezultaty. W Polsce rozwija się wszędzie i wgląd zarówno szkolnictwo średnie, jak powszechne, szkoły specjalne dla dzieci anormalnych, a wreszcie i szkoły doświadczalne realizujące nowe metody pracy.

Goście — pedagogowie zagraniczni, zwiedzając i badając nasze szkolnictwo, są niejednokrotnie całkiem zaskoczeni wysokim jego poziomem (np. wizyta Férrière'a w Warszawie), stwierdzają, że niedużo możemy nauczyć się od zagranicy, i wyrażają zdziwienie, że nie staramy się zapoznać zagranicą z wynikami naszej pracy. Do podobnego wniosku dochodzą również nasi pracownicy szkolni, studjujący i zwiedzający szkolnictwo zagranicą: nietylko nie stoimy niżej od Zachodu, ale w wielu wypadkach (np. w stosunku do Francji) duch i praca naszego szkolnictwa są o wiele świeższe i owocniejsze. Jedno tylko jest prawdą: nie umiemy się reklamować. To tak dalece, że nietylko zagranicą, ale własne społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy z wartości, którą reprezentuje nasze szkolnictwo.

Możnaby przypuszczać jednak, że sąd ten o wartości szkoły nie jest miarodajny, że przedstawiciele społeczeństwa, prasy i literatury mają dostateczne podstawy do wyrobienia sobie sądu oddzielnego: ujemnego choć bezstronnego. Wątpliwości te byłyby uzasadnione, gdyby szkoła była istotnie przedmiotem zainteresowania ze strony bądź sfer rodzicielskich, bądź sfer dziennikarsko-literackich. Niestety tak jednak nie jest: społeczeństwo polskie nie interesuje się poważnie i głęboko swoją szkołą.

Może też bardzo zdziwić się pewnego dnia, gdy stanie np. wobec nowego pokolenia pozytywistów, patrzących na niego pobłażliwie, jako na Mohikanina romantyzmu.

Krytycyzm skierowany ku szkole dzisiejszej nie ma dostatecznych podstaw logicznych, a zarzuty, które przeciwko szkole dzisiejszej się wytacza, są często najzupełniej ze sobą sprzeczne. A więc: potępienie matury jako „tortury i nonsensu”, a zarazem żądanie wzmocnienia jej gdyż: maturzyści nie umieją nawet pisać po polsku; narzekanie, że szkoła stawia zbyt duże wymagania, które wymagają pomocy starszych i biadanie, że szkoła stosuje metody rozrywkowe i rozpieszcza młodzież; apoteozowanie dawnej „solidnej” nauki pamięciowej, a zarazem przerażenie, że uczy się Sienkiewicza z „bryków”, zarzucanie nauczycielstwu i tyraństwa i poufania się i rozpuszczania młodzieży; skargi na ujemny wpływ szkoły na zdrowie dzieci i ubolewania nad popieraniem przez szkołę sportów, ze szkodą dla nauki, skargi na gnębienie młodzieży, a zarazem na jej rozwydrzenie i t. d., i t. d.

Zarazem uderza całkowite pomijanie warunków, w których szkoła dziś pracuje: a więc zupełnie zmieniona psychika młodzieży; wielka ilość szkół i wielki do nich pęd młodzieży, co utrudnia selekcję; znaczne osłabienie wpływów powojennego, rozbitego domu; znaczny dostęp młodzieży z warstw społecznych, posiadających małą tradycję kulturalną; wpływ kina i ulicy; trudne warunki finansowe zarówno szkół jak młodzieży i rodziców; a wreszcie sam fakt montowania dopiero i to w najgorętszych czasach naszego szkolnictwa.

Żadne argumenty rozumowe nie przemawiają przeciwko dzisiejszej szkole polskiej, żadne konkretne i konsekwentne zarzuty nie mogą być jej postawione ze strony społeczeństwa czy prasy; jedynym więc faktem nieodpartym jest niechętny stosunek uczuciowy do niej. Uczucie — oczywista — nie potrzebuje być zjawiskiem logicznym, aby było rzeczywistością, jak nią jest każde zjawisko psychiczne. Można by co najwyżej doszukać się podświadomych motywów tego uczucia. Freudziści twierdzą, że prymitywna radość, jakiej doznają widzowie, będąc świadkami komicznych katastrof poważnych osób, bohaterów komedji czy farsy, ma swe źródło w niewyżytym dostatecznie „kompleksie łobuzerstwa”, wywodzącym się z dzieciństwa.

Obserwując entuzjastyczną i owocną pracę szkoły dzisiejszej i bezpodstawnie niechętny stosunek do niej społeczeństwa, ma się ochotę przypuszczać, że ludzie do rośli posiadają w swej podświadomości zadawnioną obawę i niechęć do szkoły, niechęć powstałą na tle własnych niepowodzeń szkolnych, własnych przykrości i tej grozy ucznia — stopnia niedostatecznego, oznaczanego w skrótach baltazarówkami literami „nd”.

Jest się skłonny przypuszczać, że chyba tylko owym kompleksem „nd” można tłumaczyć dziwną radość, z którą podchwytuje się w społeczeństwie wszystko, co zdaje się dyskredytować, czy kompromitować szkołę, czy to będą odpowiedzi maturzystów na wadliwie ułożony „test” w szkole sanitarnej; czy groteskowe, a niezgodne z rzeczywistością przedstawienie dzisiejszego wychowawcy w komedji, czy jakakolwiek kaczka lub najbardziej fantastyczny zarzut, adresowany raczej do szkoły już minionej, a przeznaczony automatycznie na szkołę dzisiejszą.

I bodaj dlatego nauczycielstwo nie broi się publicznie. Bodaj dlatego nauczyciel nie reaguje na oskarżenie go publiczne,

że — widząc radość widzów i prasy z potępienia go i ośmieszania — traci nadzieję przekonania kogokolwiek. Wystarcza mu świadomość tego, co osiąga; wystarcza mu świadomość, że daje swą pracę nietylko na lekcji, ale że musi być instruktorem, reżyserem, doradcą i cicerone młodzieży, że na nim trzymają się wszystkie organizacje młodzieży i że służy, jak umie najlepiej społeczeństwu, choćby wbrew temu społeczeństwu. W nieporozumieniu tem jest pewien tragizm, który nauczyciel akceptuje z rezygnacją. Być może nawet, że dał się zasugerować powszechnie panującej demagogii i sam zastanawia się pod

wplywem powszechnej niechęci, czy nie jest tym okrutnym tyranem, szkodnikiem i darmozjadem.

Trzeba jednak, aby się odezwał. Nie powinien milczeć, gdyż nie chodzi tu tylko o jego dobro, lecz o dobro szkoły. Szkoła musi być otoczona miłością i zainteresowaniem społeczeństwa, jak to się dzieje w Japonji, Austrii lub Szwajcarii, jeśli ma przynieść poważne owoce.

Nauczycielstwo powinno przelamać swoje wstydlive czy zrezygnowane milczenie i przejść do kontrataku: powinno głośno oświadczyć o ile odczuwa zrozumienie i pomoc w swej pracy ze strony

społeczeństwa i prasy. Powinno postawić pewne postulaty i projekty, co do tej pomocy. Powinno się wypowiedzieć, co do form kontaktu z pisarzem, dziennikarzem i rodzicami. Powinno zapoznać społeczeństwo z owocami swej pracy i drogą, po której kroczy.

Z drugiej strony pisma, poświęcone zagadnieniom kultury i sztuki, winnyby uwzględnić w obszernym zakresie zagadnienia szkolne, gdyż grozi nam może rozbicie i rozdział między tworzeniem kultury, a jej przekazywaniem, co doprowadzić może w rezultacie do wyjałowienia szkoły, a zawiśnięcia w powietrzu kultury.

KONRAD WINKLER

## DRZEWORYTY WŁAD. SKOCZYŁASA (1913 – 1933) (SALON GARLIŃSKIEGO)

Walka o duszę polską w twórczości plastycznej najnowszej doby, którą przed 16 laty podjęli u nas formiści — przyczyniła się niewątpliwie do powstania nowych pojęć o sztuce rodzimej, rasowo-narodowej, wypływającej z odmiennych źródeł twórczego poznania. Ścieranie się opinii w kwestji znaczenia tradycji dla dnia dzisiejszego, przeorało u nas do gruntu wiedzę o przeszłości a chociaż nie stworzyło dotychczas jakiegoś stałego punktu wyjścia dla sztuki nowej, absolutnie odrębnej — to przecież wzbogaciło naszą świadomość plastyczną i zaostriżyło instynkt twórczy artystów.

Z tego to właśnie instynktu zrodziła się również potrzeba dostosowania środków artystycznych do celów zasadniczych.

Jeśli te dążenia do liniowego traktowania kompozycji przetłumaczmy na język grafiki — to łatwo dojdziemy do wniosku, że do celów tych najlepiej nadaje się technika drzeworytnicza, w której absolutna wartość kreski (a więc linii) tłumaczy się bez reszty.

Sztuka prof. Władysława Skoczylasa, wyrosła także z instynktu formowania. Skoczylas, podobnie jak wielu jego komilitonów, przeszedł przez impresjonizm, zbadał jego możliwości a nie znalazłszy w jego barwnej aformji odpowiednika dla swych artystycznych objawień — rozpoczął mozolne studia nad podhalańską sztuką ludową. Ta sztuka prymitywna ze



Wł. Skoczylas

Głowa starca

swym przedziwnym instynktem kształtowania, pobudziła wrodzone skłonności artysty, otwierając przed nim nowe pole widzenia jako pierwszy etap na drodze do własnego stylu. Tę właśnie potencjalną energię wszelakich stylowych możliwości, znalazł Skoczylas przedewszystkiem w drzeworycie ludowym.

Bogactwa pomysłów i wyobraźni, obok wzruszającej naiwności i prostoty kształtowania — wielki zmysł kompozycyjny przy wrodzonej pomysowości w użyciu najprzy-

mitywniejszych środków artystycznych — powołały do życia sztukę niemającą sobie równej na świecie — zwłaszcza, jeśli chodzi o szczerą, bezpretensjonalny stosunek do życia i o bezpośredniość a zarazem autentyczność twórczego wzruszenia. Z tej to kopalni najprostszyc emocyj plastycznych wydobywa Skoczylas pomysły i podniety do swych licznych kompozycji.

Powstaje wspaniała legenda gór („Teka Zbójnicka”) i podhalańskiego ludu („Teka Podhalańska”) — z pod śmiałego rylca artysty wychodzą rozliczne krajobrazy i „Madonny” a porane brózdami i spalone halnym wiatrem oblicza starych, górskich wygów o orlim spojrzeniu. Wszystko tu ma posmak jakiejś specjalnej namiętności. Wszystko ujawnia doskonale naturę artysty i jego temperament.

Także faktura: cięcie na kreskę i linję sylwetowe — mają tu wymowę niezmiernie osobliwą. Artysta najczęściej nie dba o elegancję i wytworność cięcia — pragnie być szczerą, jak prymityw — tylko prymityw świadomy swego celu i subtelny w wyborze artystycznych środków. Linji konturowej i kresce, modelującej formę — powierza głównie organizowanie powierzchni drzeworytu. Rozumnie i inteligentnie buduje przestrzeń — czasami robi to zbyt przejrzysto i symetrycznie — zawsze jednak w założeniu jego pracy odkrywamy pewien problem, nie nowy wprawdzie — ale traktowany po swojemu, poważnie i autentycznie. Czasami wydaje się nawet mniej efektowny od swych uczniów — ale trzeba zawsze pamiętać o tem, że jego to pomysowości, talentowi i wyobraźni, zawdzięcza polska grafika swój dzisiejszy stan posiadania. Z małego zagajnika na Wybrzeżu Kościuszkowskim — powstał w ciągu lat dziesięciu bór potężny a pod czujnym okiem tego znakomitego pedagoga, porastały w pierze młode talenty, doskonaliły się, mężniały, nabierały szerokiego oddechu i pewności siebie. Ktoś nazwał Skoczylasa ojcem polskiej grafiki nowoczesnej. I słusznie. W każdym razie jest to ojciec o nader obfitej progeniturze, który umiał stworzyć dla tej twórczości odpowiednie środowisko. Skoczylas pojmuje dzisiejszą rzeczywistość w świecie kultury i sztuki tak bystro i rozumnie, że można mu śmiało wybaczyć jego specyficzną idiosynkrazję do zachodnich „izmów”; wszak i tak wiele z tych nowostek nie ujdzie zapomnieniu, a sztuka Skoczylasa ma zupełnie inny od tych ostatnich sens i odmienny sposób pojmowania świata.

Po dwudziestu latach swej działalności artystycznej może on spokojnie rozważać przeszłość, mając w przyszłości bezwzględnie jeszcze niemało do powiedzenia.



Wł. Skoczylas

Kościół Marjański (z teki Kraków)

# Z NIEDRUKOWANYCH OSTATNICH RĘKO

## SZTUKA POLSKA W POL

Na najwyższe szczyty, na jakich duch ludzki w sztuce się objawił, dźwignęła go Wiara, to znaczy w najrozciąglejszym znaczeniu: bezwzględna pewność istnienia jeszcze innego, wiekiestego Bytu poza



St. Przybyszewski rys. E. Głowackiego

tym, który z pomocą pięciu zmysłów tu na ziemi bytuje. Wyraźnie zaznaczam pewność istnienia tego Bytu, bo tylko pewność jest podstawą wiary, nie zaś przypuszczalne jakieś „le grand Peut-être” Rabelais'a.

Pewność istnienia Bytu, poza tym pięciu zmysłami świat ogarniającym bytem, pewność istnienia jakiejś absolutnej świadomości, której mikroskopijny zaledwie pyłek musi mi wystarczyć do ustosunkowania mego „Ja” do całego otaczającego mnie „zewnątrz”, — ta pewność stworzyła pojęcie Bóstwa, absolutnej świadomości, wszechwiedzącej potęgi, bo w niej wszystko, co mózg człowieka mozolnie na przyczyny i skutki rozczłonkować musi, w niezmiennej Jedni spoczywa — Wszecmocnej, — bo może mocą swej absolutnej świadomości kierować losami najodleglejszej przeszłości, nam nieznannej, i losami przyszłości, które dla nas w najgłębszej tajemnicy są ukryte — „losami” w języku ludzkim, nie istniejącymi dla Bóstwa, bo dla Boga Przeszłość i Przyszłość jest Jednią i Tożsamością, a raczej wieczną Teraźniejszością — potęgi wreszcie wszechwiedzącej: pojęcie, najgłębiej wyrażające pewność immanentną każdemu człowiekowi istnienia Bóstwa, objawiająca się w każdej duszy, jako poczucie dobra — cnoty, zła — w grzechu i zbrodni, jako wstyd i sumienie.

Ta sama Wiara-Widzenie, która przyobleczona w te lub owe formy kultu, tworzy poszczególne religie, — przyobleczona w plastyczne kształty lub ujęta w słowo, — staje się Sztuką.

Każdy artysta ma dar Widzenia, a Sztuka jest niczem więcej, jak formą i kształtów ziemskich wcielonym widzeniem pozabytowych rzeczy.

Sztuka na równi z religią jest najsilniejszym węzłem, łączącym człowieka z światem „niewidomym”, którego tajnie artysta na równi z prorokiem przenika, widzi i widome czyni.

I stąd to pochodzi, że sztuka, jako uzmysłowienie widzącej Wiary nigdy w tak potężnym blasku się nie ujawniła, jak właśnie wtedy, gdy prawie wyłącznie jej tylko bywa wyrazem, gdy ucieleśniała najgorętsze wloty duszy ludzkiej, jej ku Bogu rwące się tęsknoty i pragnienia, jej kajania się w prochu przed niezgłębianą, nieobjętą Mocą Boskiego Majestatu i szamotania się, by móc się wdrzeć w mroki odwiecznych Tajemnic.

Sztuka nie była sługą kościoła — zgromadzenia „wiernych” — Sztuka była zewnątrz widomym Symbolem Wiary: Sztuka i Wiara była Jednią: zewnętrzną formą i kształtem wewnętrznego Widzenia.

I ten wewnętrzny organ widzącej Wiary objawił się w Sztuce w niesłychanych, dla nas, — skarłowaciałych potomków monarchicznych ojców — w niepojętych, trudnych do zrozumienia cudach architektury, malarstwa, rzeźby, słowa i dźwięku.

Ogarnąć nie sposób tego ogromu Kościoła-Sztuki. Korzyć się tylko przed tą przepotężną Jednią w ciężkiej pokorze, lub zdobyć się na tę siłę przemożnego pragnienia, by zamierzchny Cud choć w cząsteczce stał się jawą.

\* \* \*

Móc się myślał przenieść w owe czasy, gdy przybytek Boży był absolutnym wyrazem, symbolem wszystkiego co „widząca” wiarę duszy ludzkiej stanowiło: jej wniebowzięcia, grzeszne upadki, pewność wyzwolenia w wiekiestej chwale, przerażenie wiecznego potępienia, wszystkich jej przeżyć, poczynawszy od początku świata aż pod koniec jego w Sądzie Ostatecznym!

Każda Katedra była dla oczu nawet najuboższych w duchu, mocą Sztuki. Uzmysłowionem pismem świętem — rzeźb i malowideł, a nie z pomocą druku, wchłaniał w siebie człowiek średniowiecza wszystkie skarby, jakie Wiara w przeolbrzymim śpichlerzu, dostępnym dla zmysłów ludzkich nagromadziła, a nawet i tych pozazmysłowych widzeń, które jedynie tylko za pośrednictwem Sztuki uzmysłowić się dadzą: na drzwiach portalu odczytywał dzieje i żywot Chrystusa od urodzenia w żłobku, aż do śmierci męczenniczej na krzyżu, od pierwszej zapowiedzi jego przyjścia, aż do wiekiestej chwały u boku Ojca Swego, od pierwszej wzmianki prorocstwa Starego Testamentu aż do zesłania Ducha św.: Portal sam wyobrażał dzieje świata od stworzenia biblijnego poprzez historię patriarchów i królów, sędziów i proroków, aż do wizji końca świata — we wszystkich wnękach, framugach, kapliczkach widniały postacie świętych i ojców Kościoła i uczni Chrystusa i męczenników i wyznawców. Giotto zatapiał się w żywocie Zbawiciela, w freskach Fra-Angelica objawiały mu się rajske cuda pozabytowego świata, w niewykończonych piękności oglądał żywot Matki Boskiej, Jej młodość anielską, Jej święte nawiedzenie, Jej straszliwe cierpienia pod krzyżem Swego Syna, Jej ukoronowanie i Boską chwałę — na mirażach w słońcu palących się witraży uczył się od małego dziecka hagiografii, a w setkach obrazów, porozwieszanych w setkach kaplic, wnikał w tajemnice Wiary.

Kościół-Katedra była uzmysłowioną historią całego Kościoła od samego jego początku aż po dzień teraźniejszy, była rzeźbioną, czy też malowaną Biblią Testamentów i ich uwidocznieniem, Dziejami Apostołów, Wyznawców i Świętych — była nie tylko uzmysłowieniem widzeń, ale poza tem najwspanialszym środkiem, jaki sobie wyobrazić można — estetycznego wychowania.

Czem są dzisiaj Muzea, porozrzucane po wszystkich kątach Europy, dostępne tylko dla uprzywilejowanych, a zasobne przeważnie w najwspanialsze utwory artystów, które dawniej przybytki Pańskie niepomiernym bogactwem zapełniały, tem

była dawniej każda z tych bezlicznych katedr. — Ale nie tylko katedra była „pulchra et decora”, piękną i strojną oblubienią — najuboższy nawet kościół szczylił się dziełami wielkich i istotnych artystów.

Na ten temat, którego tu zaledwie dotknąłem, długo i szeroko rozpisywać się można: to jedno śmiałem twierdzić, że prosty chłop analfabeta — Włoch, czy Hiszpan, czy Francuz, z którego kościołów Anglja czy też Ameryka, czy też wogóle wszystkie te fatalne i potworne więzienia Sztuki, jakimi są Muzea i galerje, nie zdążyły wykraść wszystkich skarbów sztuki, tak nierozzerwalnie z przybytkiem Wiary związanej — posiada stokroć razy więcej kultury estetycznej, aniżeli nawet nasz „fachowy” krytyk i historyk Sztuki.

Zaciekły ikonoplasta, zażarty obrazobórca, oschły i tępy wróg Sztuki — protestantyzm — wygnął z Kościoła Sztukę i tem może najsilniej poderwał byt Kościoła katolickiego, tego najwięcej monarchicznego mecenasa Sztuki, jakiego świat dotychczas zaznał, nie wyłączając Babilonu, Egiptu, Grecji, czy też Rzymu.

Kościół katolicki zubożał, opustoszony został z tych bezcennych skarbów, jakim Duch ludzki przybytki Boga stroił i ponad wszelką miarę z bogacał. Sztuka sama odarta została z nimbu świętego „widzenia”, jaki posiada w kościele, została sprofanowana, bo wydarto z jedynych jej ram, jakimi były dla niej mury kościelne, ołtarze, predile, portale, wimbergi, framugi, wnęki fialów, galerje, kolumny. — Sztuka-widzenie, wywołująca w domu Pańskim najwyższe podniesienie Ducha, rozżarzająca serca — dziś, oznaczona gwiazdami Baedekera, uwięziona i strzeżona w muzeach, stała się przedmiotem gapienia bezmyślnego, a bogatej gawiedzi.

Sztuka oderwana od Wiary, wygnana z jej istotnego przybytku, poszła na wysługi na dwory możnych „zjadaczy” chleba — korne poklony ją bić przed wszelkiego rodzaju „Roi-Soleil”, najlichszego gatunku „rzeczoznawcy” Sztuki, który mocą pieniędzy wyznaczał jej cele i kierunki, kazał się jej dostosowywać do najordynarniejszych kaprysów mody, a wreszcie wprzął ją w jarzmo tendencji partyjnych, pożytku i korzyści i obniżył ją do „czynnika produkcji społecznej”.

Zubożał Kościół, przybytek Boga, w dzieła istotnej Sztuki, pozwolił sobie wyrwać z rąk to wspaniałe „prestige”, jakie przez całe średniowiecze posiadał, że był świątynią i zarazem najwyższym symbolem potęgi Duszy człowieczej w Sztuce, a sam, jakby rażony wściekłą protestantyzmu, nienawidzącego sztuki, przyczynił się do zubożenia Kościoła w twarze uzmysłowionych widzeń: Zmaterjalizowany kościół niechętnie patrzył na Widzenia i Objawienia, coraz natęczywiej jął wypierać poza progi kościelne natchnionego, widzącego artystę i każdego, do którego „Bóg” choć raz przemówił”. „Widząca” wiara stawała się coraz więcej „urzędową” paraliżowała, jak Mickiewicz mówi, te sily, co duchy ludzkie ku niebu porywają, a osłabienie ducha widzącego, osłabiło polot artysty, wizyjną jego moc i możność miewania widzeń. Kościół stał się oszczędny, a nawet i skąpy, gdy chodziło o rzeczy istotnej sztuki. Czyżby z rozmysłem?

Twory istotnego artysty zastąpiła tania, ale najlichsza i ordynarna tandeta fabrycz-

na niemiecko-francuska, dzieła dluta wielkich mistrzów jaknajwyklesze, przeraźliwie banalne wyroby sztukatorów i gipsarzy włoskich — obrazy pendzla choćby nawet tylko zdolnych malarzy, którzy teraz u żydowskich lub nieżydowskich bankierów kąty wycierać muszą, by dostać jakiś „obstalunek”, zastąpiły bezpieczne mame oleodruki, uwieńczone rozpaczliwą banalnością kwiatów z papieru lub płótna.

I tak się stało, że przewspaniałe mocą potężnych „widzeń” witraże Wyspiańskiego Kazimierz Wielki, Święty Stanisław, Henryk Pobożny, d a r m o ofiarowane Katedrze Wawelskiej, pozostały kartonami, tak się stało, że w połowie pracy tenże sam Wyspiański musiał przerwać swoją, nad wszelki wyraz piękną i niezrównaną polichromię kościoła Franciszkanów w Krakowie i na to patrząc, jak natchniona, z najgłębszych źródeł duszy wtręcej porodzona praca jego szczerze i odpowiedzialnie została przez lichych partaczów, że projekty Mehoffera, wspaniałe twórcze szkice dekoracji wewnętrznej dla odnowionej katedry w Płocku, budzące zagranicą zdumione uwielbienie i jaknajgorętszy podziw, zostają odrzucone.

I tak się stało, że witrażami tegoż samego Mehoffera szczyli się pyszni katedra w Fryburgu w Szwajcarii, i słynną jest z tych witraży na całej Europie, a gdyby nawet nic więcej nie posiadała prócz tych witraży, mogłaby śmiało uchodzić za jedną z najdosłojniej upięksożną katedrę, podczas gdy tummy i najbogatsze nawet kościoły polskie chępli się zagranicznymi witrażami, których brzydota i brak poczucia jakiegokolwiek zmysłu artystycznego krzyczy o pomstę do nieba.

I tak się stało, że przepiękna wewnętrzna architektura kościoła Panny Marii w Poznaniu w haniębny wprost sposób została zeszcpeczona i zniszczona czemś, co urąga nawet już wprost prostaczemu, najmniej wybrednemu pojęciu o polichromji, tego samego kościoła, który z swoimi zdumiewająco szlachetnymi pomiarami i skupioną pięknosnią przestrzeni, poruczony prawdziwemu artyście, mógłby się stać niedościgłym wzorem jednolitej, w jednym duchu zrodzonej polichromji, czemś, co istotną mocą twórczą opanowane, mogłoby być daleko piękniejszym od Sainte Chapelle w Paryżu.

I tak się stało, że w poznańskim kościele Św. Wojciecha, którego polichromia zaszczyt przynosi Antoniemu Procajłowiczowi, przepiękny witraż Wyspiańskiego, wyobrażający Św. Salomeję, męczy się niewymownie w ordynarnym sąsiedztwie boleśnie banalnych i już całkiem z sztuką nic nie mających witraży.

Wyobrażam sobie mękę kapłana, kochającego sztukę, gdy podczas mszy świętej zmuszony jest zwrócić oczy w tę stronę.

Ale już dosyć przykładów! Dużo jeszcze czasu uplynie, zanim się ziści najbogatszy z tych snów, że kościół polski będzie nie tylko świątynią, ale równocześnie stanie się Pantheonem Narodowym, w którym nie tylko z duchami Świętych będzie nam dane obcować, ale i zarazem z duchami onych z pod Warszawy, Cecory, Chocima, Wiednia, Racławic — długo jeszcze będzie najśmielszy z tych snów czekał na ucieleśnienie, by modlitwa zlała się z myślą narodową w nierozzerwalny jeden hymn, i tak ducha podniosła i tak rozpalila, by zetknął się

# PISÓW STAN. PRZYBYSZEWSKIEGO: SKICH KOŚCIOŁACH

oko w oko z świętymi, a stanął na wysokości wielkich duchów swoich ojców. — Może sny te wogóle nieziszczalne, bo ten Kościół-Pantheon tylko Sztuka stworzyć może, a ona żarliwą modlitwą, ono pragnienie obcowania z duchami świętych kościoła i świętych Narodu w modlitwie, jeno Sztuka w jej najwięcej natchnionem napięciu w duszy człowieczej wywołać jest zdolna... Dużo — dużo jeszcze razy cały świat się przeobrazi, zanim Wiara i Sztuka znów nierozdzielny sojusz zawrą i znów Jednią się staną, zanim Myśl o Bogu w Jego najwspanialszym tworze: Narodowości, najwyższy triumf swój święcić będzie, nazewną przez Sztukę polską ujawniony — ale są inne jeszcze sny, ubożuchne prawie w porównaniu z tamtymi, ale nie mniej piękne i łatwiejsze do urzeczywistnienia i o nich to mówić pragnę.

Zanim przyjdzie on wielki czas, w którym Wiara-Sztuka wzniesie Bogu, a raczej dostojnemu jego objawieniu w Narodzie, ona Świętynię-Pantheon, niechł się myśl ta, sen ten ujawnił i ucieleśnił w czynie stworzenia jej miniaturki niejako, jej najpierwotniejszego prawzoru w prostym wiejskim kościółku dla ludu polskiego!

A chociażbym tego skromnego snu nawet w najskromniejszych rozmiarach na jawie urzeczywistnionego ujrzeć nie miał, jużby i radość była niepomierna, gdyby choć jedno ziarno na tysiąc zakiełkowało i wzeszło.

A takie są moje wywody:

Tyle się gada i pisze o podniesieniu i uszlachetnieniu duszy chłopca za pomocą Sztuki — tyle się sarkani i kpin słyszało na „Częstochowskie” malarstwo — na to przerażające, karykaturalne barbarzyństwo, jakim biedny chłop swoje chałupy obwiesza — na tę piekielną nędzę z Wiednia, Lourdes, Berlina lub Ratysbony, do której chłop polski swe modły odprawia — dajcież mu wreszcie — odzywam się do kleru kościoła polskiego — dajcież mu to, co istotnie do duszy jego przemówi, chociażby drobinę tego, co z „widzącej wiary” artysty polskiego po rozmaitych „atelier” gnije, bo niema pokupu.

Dajcie mu więc Chrystusa, nie tego wylizanego Chrystusa-Apollina, cukierkowego Chrystusa-Adonisa, wysoce gentlemańskiego Lord-Christa na obrazach, które tysiącami i setkami tysięcy sprowadzamy do naszych kościołów z Niemiec, Francji, z Anglii, ale tego naszego, nawskróś polskiego, wyznanego przez Mickiewicza, Słowackiego, całą współczesną młodą Polskę — jego męczeństwo, zawarte w precudnych „Gorzkich żalach” w całem ich bezbrzeżnie naiwnem i bezbrzeżnie żarliwym rozpamiętywaniu, skon Boga, wyrażony w przedziwnej pieśni: „Zawitaj mi głowo święta w cierniowej koronie”... dajcież mu Chrystusa, żywcem odtworzonego z polskich kantyczek i nieporównanych kolęd — pozbierajcie przedziwne piękne baśnie, klechdy i legendy o Najświętszej Pannie i Świętych Pańskich, a osiągniecie podwójny cel:

Uprzysięgnie Boga duszy chłopskiej, unaocznicie mu wszechobecnego Boga, i to nie tego, który we Włoszech, Francji, lub nad Renem żyje, ale tego, który i nad Wartą, Wisłą lub Gopem w jego polskiej chałupie, na jego roli i miedzach jest obecny — a pozatem utrwali się

przez to w duszy chłopskiej ta coraz więcej zanikająca pierwotna kultura polska, sięgająca jeszcze Jagiellońskich czasów, a która do dziś dnia jeszcze między ludem przetrwała.

Nauzcie chłopca modlić się do św. Wojciechów, Stanisławów, św. Ignacego Boboli i św. Kazimierza i Jacka Odrowąża, niech się korzy przed królową Jadwigą, choć jeszcze nie kanonizowaną, i św. Kingą i Jolantą i Bronisławą a wraz z modlitwą niech się w jego duszy kojarzy tradycja wielkiej przeszłości Polski — niech się na obrazach świętych uczy historii polskiej.

Najszczytniejszym obowiązkiem kościoła polskiego jest właśnie, wyrzucić z naszych świętych przybytków zagraniczną tandetę, wiary duszy ludu polskiego nie zamącać obrazami nawskróś pogańskiego Renesansu, a na oścież otworzyć swoje podwoje dla tych artystów polskich, w których wiara nie jest skostniałym dogmatem skoltuniałym kanonem, ale żyjącym źródłem natchnienia.

Podwójnym obowiązkiem nietylko wobec artystów polskich, którzy w warunkach, niesprzyjających rozwojowi, umysłowaniu swej żyjącej wiary, z natury rzeczy cały swój twórczy kierunek muszą, ale i obowiązkiem wobec tych maluczkich, dla których jedyną szkołą estetyczną a więc najwięcej uszlachetniającego wychowania jest li tylko — kościół.

Och! mieć choćby jeden milion!

Móc wystawić chłopu polskiemu jego przybytek Pański: kościół-chałupę, potęgą artysty wzniesioną do powagi świątynicy.

Wyrazem bowiem najwznioślejszym wlotów duszy ludzkiej ku onym szczytom, na których człowiek pragnie się zetknąć oko w oko z Bogiem, to katedra go tycka; dumnym symbolem potęgi chwały i pychy ludzkiej, to pałace renesansu, a kluczem do zrozumienia duszy chłopca to jego chałupa: jest mu kolebką i trumną, lożem weselnem i przybytkiem, w którym wezbrana jego dusza ku Bogu żarliwie modły zanosi, on ją czci, ją żyjącą istotę, błogosławi jej, rozmawia z nią, przeklina, nawet opuszcza, a wciąż jednak do niej wraca.

Pokorna i cicha, wiatrem szarpana, na wszystkie burze wystawiona, a mimo to, dziwnie wytrwała, zacięta i harda, przybytek nędzy i wściekłych zapasów z ziemią i całą naturą, ale zarazem święta koleba Janickich i Kasprovczów, czujna strażnica najgłębszej miłości chłopca, miłości ku ziemi, najdostojniejszy podnózek, na którym oparła swe stopy miłość ojczyzny!

A w cudownym kościele w Jaszczurówce pod Zakopanem pokazał świętej a wielkiej pamięci Stanisław Witkiewicz, jak z motywów góralskich chałup wielkiemu Gazdzie dostojną chałupę-kościół, zarazem święte grodziszczce stworzyć można.

Mieć milion — móc uprzytomnić ludowi polskiemu wszechmocność, wszechobecność Boga na obrazach w wnętrzu w jego własnym życiu, na jego własnej roli, w jego własnych czynach, w jego obcowaniu z Bogiem i z duchami świętych, a nie w tem wszystkim, w czem Boga renesans włoski, flamandzki, czy też niemiecki widział.

Ale wtedy trzeba się będzie wyzbyć obmierzłego szablonu tradycyjnych kanonów, którym jednakże kościół w czasie

swego artystycznego bankructwa swoje świątynie powierzał.

Kościół aż pod koniec XVI wieku nie stawał najmniejszej tamy częstokroć nawet wyrotowym przeobrażeniom sztuki, godził się na najśmielsze, ale istotnie twórcze koncepcje artystyczne: w kościele dokonywała się ewolucja sztuki, w kościele ścierały się jej najrozmaitsze kierunki, kościół z równą dumą szczylił się tworem Fra Angelica, Fra Bartholomeo, jak Sodomy lub Orcagna — Tycjana równą miłością do siebie przygarniał jak Botticellego lub Mantegna, równie rozkochał się w Donatellu, jak w gigantycznym twórcy Michała Anioła — a ile nazwisk, tyle odrębnych nawet na wręcz przeciwnych biegunach stojących indywidualności, których jedno jest tylko wspólne: wielka, samodzielną moc twórcza i potęga „widzenia”.

Walka przeciw wszelkim samodzielnym „rewolucjom” dążeniom artysty, nienawiść ku twórcy i istotnie natchnionemu z twórczego źródła tryskającemu dziełu sztuki rozpoczyna się dopiero z chwilą, gdy kościół, nie wiedząc nawet o tem, jał się protestantyzować, to znaczy wziął rozbrat z Sztuką.

Jak długo Wiara i Sztuka była Jednią, istniała dla kościoła jedna tylko miara wartościowania dzieł sztuki: potęga widzenia — a może ostatnim iście wielkim obrazem tej sztuki-wiary, sztuki-widzenia, to najrozleglejsze widzenie całego chrześcijaństwa wogóle: Apokalipsa, widziana przez Michała-Anioła.

Kościół nie znalazł zatem ani szablonu, ani kanonów, poznał je wtedy, gdy otworzył swoje podwoje dla miernot, dla partaczy i niedołężnych rzemieślników, którzy brak natchnienia i wszelaki Niedostatek twórczy starali się uniewinnić niby to „uświęconą” tradycją.

Kościół w najwyższym rozkwicie swej potęgi pozostawiał twórcy bezwzględna swobodę i wolność. Więc nie kanon, ale absolutny indywidualizm twórczy jest tradycją kościoła uświęcony.

I czas, by ta iście arystokratyczna tradycja na nowo w kościele, o ile zechce się napowrót z Sztuką łączyć, odżyła.

Jeżeli Andrea del Sarto miał odwagę uświęcić niepokalane dziewictwo w prostej włoskiej dziewczynie z jakiejś tam tawerny i wcielił w nią świętość matki Boga, przed którą gną się setki tysięcy kolan ludu polskiego w żarliwym nabożeństwie — dlaczego by się nie miało to dzieć przed świętym symbolem dziewic-

stwa, wyrażonego przez polską dziewicę czy z nad Wisły, z nad Warty lub Gopla? A czyż nie byłby bliższy dla duszy chłopca polskiego Chrystus, porodzony w



Św. Krzysztof Drzeworyt Wł. Skoczylasa

stajni lub oborze wielkopolskiej, aniżeli w nadreńskiej szopie Dürera — a czyżby cokolwiek wzniośle mogło podzielać na modlitewne rozżarzenie serca chłopca polskiego jak odtworzenie precudnego „Widzenia” Lenartowicza w szeregu obrazów — całkiem inaczej odczułby wtedy i zrozumiał to wszystko, „co się tam dzieje na tamym świecie”, aniżeli z nędznych kopji fresków chociażby i nawet samego Fra Angelica — a jak wspaniałą mogłaby być adoracja świętego Dzieciątka nie przez włoskich obdarsów lub francuskich gaminów, ale przez naszych pastuchów — jak potężnym uczczeniem Przenajświętszego Sakramentu nie przez zawile scholastyczne alegorie i symboliczne teologiczne postacie niemieckich mistrzów, ale przez nasze w krzyż rozciągnięte chłopstwo polskie podczas Podniesienia wśród olbrzymiej pieśni „Święty Boże, Święty Mocny” podczas Oktawy Bożego Ciała.

Hej! hej!

Mieć choćby jeden milion, otworzyć na oścież wrota przybytku Pańskiego: polskiej chałupy-świątynicy dla tych wszystkich którzy żarliwej swej wiary w dziełach sztuki uzmysłowić nie mogą, bo artysta polski, któryby się poświęcił wyłącznie religijnemu malarstwu, musiałby chyba z głodu umrzeć. Polski kościół nie potrzebuje Wyspiańskich ani Mehofferów, ani Malczewskich, ani tych wszystkich, którzy według słów hr. Lanckorońskiego



Kościółek na Podhalu

Drzeworyt Wł. Skoczylasa

posiadają dużo zdolności artystycznych, „ale te mogą najczęściej być szkodliwe”. Czy kościół polski ma lokować grosz ludu polskiego w hurtowych fabrykach dewocjonalji w Monachjum, Ratsybonie, Monasterze, Paryżu lub Lourdes? Czy kościół polski ma kochać się w tanich bazarowych ozdóbkach, w orgiach gipsatur, w tem wszystkim, co na metry lub na funty u rozmaitych Wertheimów lub Tietzów z tak zwanej „sztuki kościelnej” tania — to przedewszystkiem — nabyć można?...

Tak! mieć milion, mózdz urzeczywistnić rozkoszne marzenie stworzenia świątyni-chalupy nie o wysoko-piennych, gotyckich oknach ale z prostokątnymi, szerokimi otworami: niechby na tych witrażach zobaczył chłop polski swoje „kantyczki” i swoje „Gorzkie Żale”, a na obrazach ołtarzy nie dziwował się zazwyczaj nędznym kopjom Madon Sykstyńskich, Rubensa, czy też Holbeina, ale z miłością żarliwą spoglądał na twarz naszej Matki Boskiej Zielnej, czy też Gromniczej i tej przedewszystkiem, która jest królową Korony Polskiej! Tak, tę przedewszystkiem, którą lud polski tak gorąco, tak rozpacznie błaga by zawitała, by płaszcz swój nad nim rozwiała, on płaszcz, o który kule szwedzkie się besilnie odbijały i daremnie topór krzyżacki się wyszczerbiał.

Wypędzić z kościoła gips, sztukaterję, tę sprośną tandetę, klamiącą jaknajbezcelniej sztuce, a zastąpić ją tworem snycerskim z naszego drzewa lipowego — a nie ma chyba więcej podatnego materiału dla drzewnej rzeźby, jak właśnie lipa — wyrzucić śmieszne w polskim kościele pseudo-klasyczne filary — czy nie stokroć razy piękniejsze one modrzewiowe słupy, które wspierały posowy świetlic książęcych dworzysk naszych Piastów, pomijając już to, że dają najrozleglejsze pole dla snycerskiego zdobnictwa? Zamiast banalnych kapiteli z jakiś tam greckich akantusów, czy też wolut iońskich, czemuż nie głowice rzeźbione według motywów naszych ostów, liści łopuchy, lopianu, żywokostu, bylicy, a zamiast potwornych kolumn barokowych lub bezpłciowych „roccoco” albo bastardycznych „empire”, w które dotychczas obrazy ołtarzowe wtłaczano — czemuż nie dwa pnie nadwiślańskich wierzb, splecione konarami u góry w boski baldachim, owity powojami, czemuż nie strzeliste topole nadgoplańskie, albo te nasze brzozy, które tak dziwnie głęboko rozmadlają, rozanielają nasze wiejskie kościoły podczas Zielonych Świąt?!

Obraz Matki Boskiej Gromniczej w rzeźbionym w drzewie lasku kasztanów oczywiście polichromicznym, kwiecie kasztanów stylizowane w kształt piętrzących się czubków świec gromniczych — obraz Matki Boskiej Zielnej w zagajniku wszystkich naszych wysokopiennych ziół: i trzciny, sitowia i tataraku, i całem tem różnorodnem bogactwie roślinności naszych wielkopolskich jezior — obraz ołtarzowy Chrystusa na krzyżu w obramowaniu gałęzi drzewa krzyżowego, cierniowego, żywokostu, liści piolunu — czyż można sobie wyobrazić piękniejsze ołtarze dla naszych polskich kościołów?

A może Wam więcej imponują grotty z Lourdes, pseudoklasycyzm Renesansu — brzuchaty, potwornie, jakby w kontorsjach choroby św. Wita poskręcany barok, lub fidrygalki Roccoco?

W swoim wspaniałem dziele „Certains” wola Huysmans o żelazo i szkło dla architektury Zachodu — z tem większym naciskiem należy się domagać drzewa dla naszej polskiej zewnętrznej architektury świątyni naszych.

Powrócić drzewu, czy w architekturze zewnętrznej, czy też w rzeźbie pierwotne jego dostojeństwo, jakiego tak długo w Polsce jako szlachetny materiał Sztuki używano, to pierwsze zadanie kościoła polskiego.

A czem jest drzewo jako materiał dla snycerza, świadczą nieprzeliczone, przewspaniałe ołtarze gotyckie, świadczą niezrównane stale po katedrach gotyckich, świadczą cały twór Wita Stwosza lub Riemenschneidera a ostatnio pokazał Nalborczyk w swoim pięknym ołtarzu w kościele zakopiańskim, jakie cuda z drzewa wydobyć można.

Mieć milion!

Och te bogate sny biednego człowieka! Wybrać sobie z gromady artystów, którzy mają ona żarliwą, „widzącą” wiarę; wysłać ich za granicę nie na to, by z Paryża popowracali z śmiesznym, niedołężnym snobizmem, ale na to, by doszczętnie przestudjowali to co Bawarja, co Belgja, co Francja przed wściekłą obrazoburczą rewolucją protestancką, lub też zachłannej sekularyzacji z swoich kościołów uratować zdołała i w setkach prowincjonalnych muzeów ostatni przytułek dać mu raczyła — pozwolić im się wżyć w te bezcenne skarby snycerstwa drzewnego, wśnić się w ich cud i wskrziesić je w nowych swojskich formach do nowego życia: niechby mi potem dla mego ołtarza rzeźbili ramy, zdobili filary i głowice, tworzyli ambony i chrzcielnice — niechby mi gotyk niemiecki w drzewie zamienili na styl lachicko-polski (sit venia verbo), niechby mi potem ściany kościoła nie szpeciłi bezduszną, szablonową, klasyczną czy też renesansową ornamentyką, opatrzoną i obrzydłą już do szpiku kości — ale istotnie ozdobili żytnimi polami z całem ich

bogactwem blawatów, maków, kąkoli — przyrodzonymi drogami z kępami krwawników i ziela krzyżowego, ugorami z zagajnikami dziewanny, murem obrosłym rozchodnikiem, wzgórkami, pokrytymi ciemno-amarantowym kobiercem wrzósów...

Niechajby mi się przybytek Pański stał niejako syntezą tego wszystkiego, czem w życiu codziennym naokoło żyję — niech sobie w świątyni Pańskiej w skupieniu podczas mszy świętej uprzytomnię to wszystko, co rozbieżnie wokół mnie w tysiącach kształtów, tysięcy przeżyć, bezustannej zmianie i przeobrażeniach drga, wre i kipi — niech zdołam objąć jednym obrzudem oczu to wszystko, czego rozproszoną uwagą poza kościołem Boga ująć nie mogę...

\* \* \*

Bogu, który nam Polakom w najszytniejszym swem dziele, według Mickiewicza, w naszej narodowości się objawił, przynależy się świątynia, któraby duszę i posłannictwo tego narodu przez Sztukę na zewnątrz objawiła.

I stąd ta duszna potrzeba narodowego kościoła, kościoła polskiego dla ludu polskiego.

Kościół ten ma być uzmysłowieniem jego wierzeń, jego cierpień i tęsknot i nadziei — ma być odzwierciedleniem duszy jego w wszystkich jej przejawach, ma mu to na zewnątrz ukazać, co się w najgłębszym jej ukryciu dzieje i na jej dnie chowa, tłumaczyć mu jego przynależność do onego zbioru ludzi, którzy są powołani przez Boga do spełnienia swego posłannictwa — osiągnięcia wymierzonego mu od wieków wspólnego, a świętego celu, który tworzy *narod*, a dla

duszy chłopu stanie się taki kościół istotnym podniesieniem Ducha, przybytkiem największego naprężenia jego najszlachetniejszych strun...

Dajcie ludowi kościół, żywy obraz jego duszy, jego żarliwych rozmodleń i kajań, jego smutków i wniebowzięć, a on kościół będzie mu nie tylko drogą do Boga, nietylko zadziernięciem nierozzerwalnych węzłów między nim a narodem, (a chłop wciąż jeszcze stoi poza nawiasem narodu) — będzie mu nietylko Domem Bożym, ale, w najrozciąglejszym znaczeniu, jego własnym Domem, a przez Sztukę, objawienie „widzącej” wiary, sam stanie się „widzącym”.

Chcecie lud podnieść, chcecie go uszlachetnić, chcecie w nim rozżarzyć miłość do narodu, chcecie mu dać poznać Boga w jego „najszytniejszym” tworze, chcecie w nim rozbudzić tęsknotę ku Idealowi, oderwać zbyt przyziemną myśl jego raz poraz ku podniebnym zwyzom, to dajcie mu Piękno — jego Piękno, widzeniem twórcy uszlachetnione i podniesione do wyżyn prawdziwej Sztuki, w jego chalupie-świątyni.

Narodowym kościołem, stworzonym przez istotnych, natchnionych artystów, dźwigniętym na naszej polskiej ziemi zbożnym wysiłkiem wszystkich sfer społeczeństwa polskiego, rozpoczniecie wychowanie Narodu, rozpoczniecie je od samego dołu, rozpoczniecie je od najmniej uświadomionych warstw narodu, od chłopca, przez Sztukę w kościele i kościół w Sztuce.

A ludziom dobrej woli niech Bóg dopomóż, Bóg Chrobrych, Batorych, Sobieskich, Bóg Kościuszki i wszystkich tych, w których duszach Myśl Narodowa w całym swym majestacie się objawia!

LEON CHWISTEK

## NIEWOLA DUCHOWA

I.

Zacięta walka o samodzielny rozwój kultury duchowej, jaką prowadzi u nas garstka entuzjastów, jest zaiste miotaniem się muchy bezsilnej, oplątanej przez chytne pająki w sieci niezawodne i wypróbowane przez najlepszych speców. Z jednej strony naiwna wiara w ożywczą siłę własnej myśli i argumenty poważne, wypływające z głębi duszy czującej, opanowanej przez ideę twórczą. Z drugiej strony potępienie w czambuł bez zagłębienia się w istotę zagadnienia, argumenty cyniczne i grube, obliczone na efekt doraźny i ostateczny. Kiedy myślę o tem, że są jeszcze u nas artyści, którzy mają ochotę dyskutować publicznie w obronie swoich ideałów z zakłamanymi krytykami, którym chodzi o to tylko, żeby wykończyć ich za wszelką cenę, — to doprawdy ogarnia mnie gniew i radbym protestować głośno i brutalnie i powiedzieć raz otwarcie:

Szkoda waszego gadania, szkoda wysiłków i cierpień. Zgniotą was na miazgę i zetrą z powierzchni ziemi i będą strzec waszych prochów, żeby z nich nie narodził się mściwiec. Uwzięli się i zmówili się przeciwko waszym tęsknotom. Postanowili, że Polska musi na całą wieczność pozostać głuchą prowincją, w której panoszyć się będą ludzie miernych talentów i miernych ambicji, ograniczając się do przeżuwania tego, co już dawno zagranicą przebrzmiało i przestało być niepokojącym i niebezpiecznym. Walka z nimi nie może być prowadzona przy pomocy czysto rzeczowej dyskusji. Trzeba zajrzeć do głębi

ich dusz, odsłonić mechanizm ich myśli i zamierzeń i trzeba obrzydzić ich społeczeństwu i zmusić je do tego, żeby odrzuciło ich jak się odrzuca obwisłą lupinę po zjedzonym bananie.

II.

Historja ludzkości jest bardzo młoda. Czasy, kiedy ludzkość składała się z żywego towaru i handlarzy żywym towarem są bardzo niedawne. Z wielką trudnością z obu tych klas społecznych wyzwalałi się ludzie wolni, którzy nie chcieli być towarem, ani też zajmować się tego rodzaju handlem. Pisząc te słowa, przesadzam niewątpliwie, ale czynię to całkiem świadomie, żeby podkreślić podstawową rolę, jaką niewolnictwo pod różnymi postaciami odgrywało w wiekach ubiegłych. Jeśli pójdziemy dalej tokiem tej myśli i zaczniemy rozpatrywać z tego punktu widzenia zjawiska kulturalne, z jakimi mamy do czynienia w chwili obecnej, to terazniejszość nabierze dla nas zupełnie specyficznego charakteru. Mimowoli zaczniemy doszukiwać się zarówno w samych sobie, jak i w otaczającym nas społeczeństwie zatajonych kompleksów myślowych, pozostałych po tej epoce. Zobaczmy rychło, że jest ich o wiele więcej, i że są o wiele potężniejsze, niżby to na pierwszy rzut oka wydawać się mogło.

Do tego rodzaju kompleksów zaliczam wszelkie nadmierne apetyty materialne i skłonność do poszanowania potęgi finansowej. Nie należy zapominać, że czynniki te odgrywają olbrzymią rolę w życiu du-

chowem społeczeństw, i że hamują w najwyższym stopniu ich rozwój. Wiadomo dziś powszechnie, że fałszywy głód pieniędzy zniekształca życie ekonomiczne świata, nie ma bowiem nic wspólnego z rzeczywistymi potrzebami ludzi, a służy tylko sam sobie, dążąc automatycznie do tworzenia nieużytecznych skupień kapitału.

Ale zbyt często zapomina się o tem, że ten sam głód pieniędzy zamienia w karykaturę kulturę duchową olbrzymich środowisk, niszcząc i tępiąc do gruntu szczere wysiłki twórcze, a podstawiając na ich miejsce szablon ordynarny i płaski.

Wystarczy zastanowić się nad ohydą filmów amerykańskich i przeczytać jakieś uczciwe sprawozdanie o stosunkach w Hollywood (np. „Targ Świata” Kisch). Wystarczy rozejrzeć się w historii sztuki francuskiej z okresu kiedy była przedmiotem zainteresowania kapitału amerykańskiego.

Są to zjawiska, które narzucają niepokojącą koncepcję niewolnictwa, odradzającego się w nowej postaci, niewolnictwa duchowego najpodlejszego gatunku, o wiele groźniejszego i trudniejszego do zwalczania, niż dawne niewolnictwo fizyczne.

III.

W środowiskach ubogich, takich jak nasze, zjawiska te nie występują w formie prostej. Zamieniają się w osobliwą karykaturę, taką właśnie, jaką jest z punktu widzenia ekonomicznego życie kramikarzy w małym miasteczku. Chodzi prosto o to, że z punktu widzenia pieniądza nasze

życie kulturalne, jest zupełnie niezajmujące. Niema mowy o robieniu majątków, można co najwyżej żyć porządnie i nie żalować sobie na drobne wydatki. Zyski są małe, ale za to wysiłek minimalny. Pracuje się według utartych szablonów, unikając zbytecznego hałasu i jakoś tam się żyje, a nawet dochodzi się do poważania u ludzi i do wewnętrznego zadowolenia.

Polacy są narodem, ceniącym nade wszystko pogodny nastrój w życiu codziennym, odczuwają więc podświadomą wdzięczność dla tych wszystkich, którzy umieją im wmówić, że gdyby chcieli, to mogliby ich niepokoić, ale nie czynią tego przez dobre wychowanie. Nie można się dziwić, że ten właśnie gatunek ludzi rozplecił się u nas i stał się niebezpiecznym hamulcem, opóźniającym niezmiernie rozwój naszej kultury.

Artysta z Hollywood, deprawowany przez milionerów jest odpowiednikiem murzyna, którego przywieziono w łańcuchach z puszczy afrykańskich i zaprzęgnięto do pluga.

Pięknoduch opisanego powyżej gatunku, to raczej eunuch, wykastrowany w dzieciństwie, który czuje się doskonale w swoim środowisku i jest zarazem obrońcą istniejącego porządku.

Człowiek taki jest zaiste dobroduszny i ujmująco miły, dopóki nie zauważy, że ktoś pragnąłby rozszerzyć świat jego pojęć i zmienić coś takiego, co on uważa za podstawę równowagi społecznej. Wtedy budzi się w takim panu bezprzykładna wściekłość, bardzo podobna do tej, jaka występuje u przedsięwzięwców, kiedy ten dowie się, że towaru nie będzie mógł nabywać za darmo, i ta sama łączy się z nią lezka sentymalna. (Np. współnik w książce Flukowskiego: „Pada deszcz”).

Z tej właśnie grupy ludzi rekrutują się u nas handlarze towarami duchowym. Może raczej należałoby nazywać ich kramikarzami, bo obroty, jakich dokonują, są zaiste zbyt drobne, a poza tym koncepcja handlarza duchowym towarem posiada posmak świadomego celu zbrodni, o której tutaj niema mowy.

Jest tylko zwykła ciemnota i krótkowzroczność, która wprowadzi przynosi kulturze szkody bardzo poważne, ale bez cienia złej woli, w najlepszym przekonaniu, że broni się dobrej sprawy. Taksamo jak np. zamożny gospodarz, który strzela do chłopców zjadających jego czereśnie.

Istnieje stara zasada, według której przełożony nie powinien być uprzejmy dla podwładnych. Na parę lat przed wojną zapewniał mnie pewien ziemianin z ówczesnej Kongresówki, że kto chłopa nie potrafi silnie walić w mordę, ten nigdy szanowany nie będzie. Sprawę należy załatwić krótko, radykalnie.

Jako najprostszy środek uznano frazes o imporcie nowinek zagranicznych. Wszystko co wychodzi poza szablony pejzaży nastrojowych, fotograficznie ujętych portretów i typów folklorystycznych jest przestarzałe. Tylko tani, popularny impresjonizm jest właściwym polem twórczości oryginalnej. O tem, że impresjonizm przyszedł do Polski bardzo późno i że nie wznosił się nigdy na właściwe wyżyny, nikt nie ma ochoty mówić. Poruszenie takiej sprawy jest uważane za czyn niepatriotyczny, prawie za zdradę sprawy narodowej. Natomiast wierne trzymanie się impresjonistycznego szablonu uważane jest za objaw prawdziwego artysty i co najlepsza prawdziwej oryginalności.

Jest jasne, że argumenty te nie różnią się zasadniczo od tych, jakimi posługują się hitlerowcy. Niewolnicy duchowi typu kramikarskiego są instytucją międzynarodową.

Tylko nie wszędzie są równie mało ambitni jak nasi i równie niekonsekwentni w swoim zaślepieniu.

Na naszych kramikarzach wycisnęła osobliwe piętno niewola polityczna, która sprawiła, że żywią oni wyraźny kult dla wszystkiego co się robi zagranicą, choćby to były rzeczy tego samego gatunku jak te, które u nas poniewierają i tępią w sposób brutalny. Artystów zagranicznych, choćby nie wiem jak skrajnych i nie wiem jak podrzędnych, wymieniają zawsze z pewnym oszanowaniem. Bez porównania zdolniejszych i stosunkowo umiarkowanych artystów polskich lekceważą i wysmiewają.

Otóż, trzeba raz otwarcie powiedzieć, że jest to nietylko podle ale i głupie.

Jest to niewiele więcej taka sama zasada jak ta, która kazała swojego czasu hamować rozwój oświaty w kraju w obawie przed przewrotem społecznym.

Zasady tego rodzaju doprowadzić muszą każde społeczeństwo do zupełnego застоju. W atmosferze застоju i obojętności dla spraw duchowych niema miejsca dla artystów nawet najbardziej wiernych szablonowi. Czy prędzej czy później urywają się dochody i zaczyna się zwątpienie i niedza. Taki właśnie los spotkał obecnie przedstawicieli szablonu impresjonistycznego. Nie sprzedają nic i wylewają rzewne łzy nad swoją biedą i niedolą. Nie baczą na to, że pomawiani przez nich o geszefciarstwo formiści musieli zawsze zadowalać się byle czem i właśnie dlatego nie odczuwają niemal kryzysu. Ani jedni, ani drudzy nie odgrywają żadnej roli w społeczeństwie. Sztuka polska, która w okresie formizmu zerwała się do samodzielnego lotu i miała dane do tego, żeby zaważyć na losach historii sztuki światowej, została znowu zepchnięta na szary koniec i przysypana popiołem milczenia.

#### IV.

Nie należę do ludzi, którzy oddają się zwątpieniu i nie sądzę, że należy zrażać się klęską, choćby bardzo dotkliwą. Myślę, że zaostrzenie sytuacji do granic ostatecznych, może wywołać niespodziewane odrodzenie zapału twórczego. Jakiemi drogami dążyć należy do tego odrodzenia, postaram się powiedzieć w artykułach następnych. Tym razem chodziło mi tylko o zdemaskowanie wroga i wypowiedzenie mu wyraźnej wojny. Chodziło o to, żeby powiedzieć wyraźnie, że artyści polscy podzielić się muszą na dwa wrogie obozy. Na bohaterów szukających własnego wyrazu sztuki polskiej bez względu na to, czy to się komu podoba czy nie podoba i na kramikarzy, stawiających jako główny swój cel korzyść materialną i schlebienie smakowi sfer posiadających pieniądze. Chodziło o to, żeby napiętnować publicznie zaprzędanie sztuki niedzemu pragnieniu zysku i głoszenie zasad nikczemnych, takich np. jak to potworne hasło, że *artysta jest tyle wart, ile zarabia*. Hasło to, które powtarzano u nas bezmyślnie za Ameryką jeszcze kilka lat temu, brzmiało na gruncie naszym jak złośliwe szyderstwo i jakby jakaś obłędna namiętność do pomiatania samym sobą. Dzisiaj stępiło się jego ostrze, ale z tego, że jego zwolennicy stracili tupet i nie mają odwagi wyrwać się z niem w dalszym ciągu, nie wynika, żeby psychika ich zmieniła się radykalnie. Jest pora, żeby ludzie ci nie mieli prawa moralnego do zabierania głosu w sprawach artystycznych. Jest pora, żeby wyrzucić ich na pysk z świątyni naszej Sztuki i dać wreszcie pole do działania pogardzanym dziwakom i fantantom, którzy właśnie dlatego za takich uchodzą, że żyją naprawdę sztuką i żadnych celów ubocznych nie mają.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

## SZTUKA

Muzyka — drwał rąbiący, oracz pracujący,  
To ból zwyczajnych ludzi, w radość przetwarzany,  
To ostry promień słońca, ostry i palący,  
Nie zobaczony okiem, ale usłyszany.

Malarstwo — wielkie miasto, w którym się nie słyszy  
Ni kroków, ni bram, z głuchym trzaskiem zamykanych,  
Lecz widzi się, jak barwa pełną piersią dyszy,  
Jak żyje człowiek w gestach, bujnie malowanych.

Rzeźba — patos mięśni, linje pożyczone  
Od muzyki, potężne posągi, pragnące,  
Aby, jak marmur, słońce zamarło znużone,  
Aby świeciło białe marmurowe słońce.

Poezja — myśl i słowo, ale to najcichsze,  
Jak matka, jak umarłych nagle przypomnienie,  
Jak dłoń, podana żywym i jak najprawdziwsze,  
Chwytające za serce ludzkie zamyślenie.

## POLSKA AKADEMJA LITERATURY

Akademja Literatury została utworzona! Art. 1 Uchwały Rady Ministrów, której rozporządzeniem instytucja ta została powołana do życia, brzmi:

„Pragnąc zapewnić literaturze polskiej należne stanowisko w życiu narodu, odpowiednie do jej wielkich zasług w podtrzymywaniu ducha narodowego w czasach walki o niepodległość, oraz wywyżżyć ją jako narzędzie, poprzez które wypowiada się dusza narodu w najbardziej idealnych pierwiastkach, jak również umożliwić pisarzom polskim oddziaływanie na społeczeństwo w kierunku wzmocnienia poczucia państwowości polskiej oraz współpracę z rządem nad budową świetnej przyszłości państwa polskiego, ustanawia się Polską Akademię Literatury”.

Zadaniem Polskiej Akademii Literatury będzie — jak się dowiadujemy — opieka nad piśmiennictwem narodowym oraz praca nad jego rozwojem. W szczególności Akademia: 1) reprezentować będzie polskie piśmiennictwo artystyczne, 2) występować z inicjatywą poczynań, zdążających do podniesienia poziomu literatury polskiej i opieki nad literatami, 3) współdziałać z Rządem we wszystkich jego poczynaniach dla dobra kultury i sztuki polskiej, 4) wypowiadać opinie na życzenie władz państwowych w sprawach dotyczących języka, literatury i kultury polskiej, 5) przyznawać nagrody literackie oraz stypendia dla literatów, 6) podejmować wszelkiego rodzaju wydawnictwa, poświęcone rozwojowi polskiej sztuki literackiej, 7) wyróżniać utwory literackie i decydować o przyznaniu im kwalifikacji „odznaczone przez Polską Akademię Literatury”.

„odznaczone przez Polską Akademię Literatury”.

Po 15 latach odrodzonego bytu państwowego, rząd Rzeczypospolitej spełnia obietnicę, na której realizację od tak dawna czekało piarstwo polskie. Fakt jest doniosłego i radosnego znaczenia. Literatura doczekała się wreszcie swego święta i częściowej spłaty długu, za tyloletnią narodową służbę.

Witając powstanie nowej instytucji, oceniamy jej rolę bez przesady i trzeźwo. Nie stworzy ona nowych talentów, nie wynajdzie cudownego eliksiru na wzmożenie twórczości. Stanie się jednak symbolem zasług kulturalnych, obudzi poczucie autorytetu sztuki literackiej, zdobędzie inicjatywę w organizowaniu wartości duchowych społeczeństwa. Tej właśnie inicjatywy brakowało naszym ośrodkom literackim. Wpływ ich na uporządkowanie spraw kultury był minimalny. Gdy wszystkie inne dziedziny życia polskiego obrastały w coraz potężniejsze formy organizacyjne, literatura leżała ugięta, zdana na borykanie się jednostek w tragicznej częstokroć walce o swoje moralne i materialne prawa do życia. Nie znaczy to, że teraz wszystko się odmieni i w państwie literatury zapanuje Arkadja. Nie. Walki nie ustaną i nie powinny ustać. Autorytet naczelnej instytucji literackiej, jaką stanie się Akademia, będziemy pojmować jako zagadnienie najwyższej odpowiedzialności wobec rozlicznych potrzeb literatury. Będziemy na każdym kroku domagać się tej odpowiedzialności, a w Akademii widzieć nietylko zaszczytną reprezentację „nieśmiertelnych”, ale przede wszystkim instytucję użyteczności publicznej.

## LITERACI PRZY PRACY

### PROZAICY PRZY PRACY.

Marja Dąbrowska przygotowuje na miesiąc zimowy tom 4-ty cyklu „Noce i dnie”.

Jan Parandowski pisze powieść współczesną.

Zygmunt Nowakowski przygotowuje współczesną polską powieść polityczną.

Michał Rusinek przygotował do druku 2-gi tom swej powieści „Burza nad brukiem”.

J. W. Miller pisze większą opowieść o losach jednej z ostatnich wypraw polarnych.

Herminja Naglerowa pisze trytomową powieść obyczajowo-psychologiczną pod ogólnym tytułem „Karjery”. (G.)

### KRYTYCY PISZĄ:

Księgarnia F. Hoessicka wydaje w najbliższym czasie dwie książki z dziedziny krytyki literackiej: Karola Irzykowskiego „Słoń wśród porcelany” i I. E. Płomińskiego „Studia literackie”. (G.)

### „BIBLIOTEKA WZOROWYCH PRZEKŁADÓW”.

Bezsprzecznie można w ten sposób nazwać cykl przekładów obcej literatury dramatycznej, zgrupowanych w „Bibliotece dramatycznej” miesięcznika „Droga”.

Biblioteka ta zapoczątkowana „Mężem przeznaczenia” Shawa, w przekładzie Wilma Horzycy, wydała następnie: Marinetti's ego „Jeńców” w przekładzie Hanny Mireckiej, oraz Cocteau „Orfeusza” w przekładzie Romana Kolonieckiego, a obecnie wzbogaciła na została o dwa nowe utwory: „Każdy” (Everyman) średniowieczny moralitet angielski (przekład St. Helsztyńskiego), oraz „Edyp” Andrzeja Gide'a, w przekładzie Romana Kolonieckiego.

Wszystkie te przekłady są niedoścignionym wzorem do naśladowania dla rzeszy tłumaczy polskich, których praca posiada tak smutną, ale zasłużoną sławę. (G.)

ZOFJA NAŁKOWSKA



## MACIERZYNSTWO

FRAGMENT POWIEŚCI „GRANICA”

(ILUSTRACJE IRENY LORENTOWICZ-KARWOWSKIEJ)

Tego dnia podniósł się straszny rwetes na podwórzu kamienicy przy ulicy Staszycy. Elżbieta popatrzyła przez okno, ale nic nie było widać. Więc wyszła przez korytarz do kuchni.

— Co się tam dzieje?

Michalina знаła już tę sprawę. — To Władziowa znowu wróciła do Wylamów, — powiedziała.

Tem samym rzecz wyjaśniała się dostatecznie. — Jednak Elżbieta spytała z niepokojem:

-- Ale sama?

Michalina, nie patrząc, zrzuciła ze stołu kota na ziemię, jak miękki przedmiot.

— Poszet, — mruknęła przytem. Nie, nie sama, — z dzieciakiem. Więc naturalnie oni jej teraz nie chcą wziąć i dlatego taka heca. — Poszet, — powtórzyła. — Małoś dostał?

Elżbieta się zmartwiła.

— Co ta kobieta wyprawiała, żeby jej to dziecko umieścić. — A teraz znowu sama je odbiera.

— To jest djablica. Naturalnie i tę służbę widać straciła, kiedy tu jest. Żadna pani tego nie lubi, żeby jej się cudze dzieciaki kręciły po kuchni.

Władziowa przyszła do kamienicy jeszcze jak było całkiem rano, z poduszką, owiniętą w kapę, kuferkiem i Zbysiu. Było mglisto, ale słońce przecierało się już przez białe chmury na piękny dzień jesienny. Pierwsza zobaczyła ją Balinowska, jak wyszła posprzątać przed swoją komórkę. Władziowa siedzia-



ła na schodku przed kuchennymi schodami.

— O jej, to go pani znowu wzięła z Opieki? — zawołała Balinowska. — A mówiła pani, że tam dzieciakowi jest dobrze.

— Wzięłam i już. Dużo ja wiem, czy go tam świństwem jakim nie karmią. Czy on mi co powie, taki dzieciak. A czy on ma zdrowie do nauki. — Kazała mu tam latać z piłką po ogrodzie, zimno nie zimno, bawi się z takimi ordynarnymi chłopakami, to go jeszcze ponaucają wyrazów, albo jeszcze go który uderzy albo go popchnie. To go wzięłam i odebrałam.

Drzwi na parterze do kuchni pani Kolichowskiej były otwarte. Na ukos widać było dużą półkę w ścianie z paroma miedzianymi rondlami nierównej wielkości i wycinaną w bielutkim papierze koronką. Kucharka Michalina wyrzała na schody. Trzymała na brzuchu sporego kota przez pół, tak niedbale, jakby to była ścierka.

Popatrzyła, co jest, i wyraziła swoją opinię:

— Też głupi ludzie, żeby oddali dzieciaka takiej warjatce.

Władziowa roześmiała się cienko i groźnie.

— Oo, niechby mi nie dali! Niechby tylko nie dali!

— Pewno! — musiała przyznać Michalina. Mimo to zapytała ironicznie: — A na cóż to tu Władziowa z pakunkami oczekuje?

— Wylamowa poszła na miasto i mieszkanie zamkła. To sobie usiadłam i czekam. Jak komu zawadzam, niech nie patrzy. Wcale się nie proszę, żeby mi się przyglądali.

Wykręciła się na siedzeniu tyłem do Michaliny i zawołała w stronę podwórza:

— Chodź ino, chodź. Zbysiu, usiądź grzecznie koło mamusi, usiądź i posiedź.

Zbysiu stał niedaleko, spokojny i obojętny. — Wyglądał na pięć lat, a miał siedem. Był bardzo biały i wąty, ubrany czysto i miał wielkie, zbyt duże, jasne rzęsy na wąsko patrzących oczach. Przyszedł grzecznie i usiadł na schodku, gdzie mu matka kazała.

— Teraz, widzisz, już będziesz z mamą, teraz ci będzie dobrze. Nikt cię nie będzie ganiał do nauki ani do ogrodu. Nikt się do ciebie nie wtrąci.

Michalina już zniknęła ze schodów ze swoim kotem. Władziowa mówiła na podwórzu do zamiatającej miotłą Bolinowskiej.

— Włoski miał takie ładne, kręcone, to mu też wzięli i obcięli. Jak ten chłopak teraz wygląda, Boże kochany.

Zdjęła mu czapkę, zobaczyła, czy nie spocony, i znów włożyła. Pomała też rękę w rękawie. Nie wytrzymała i nagle zaczęła go w tę rękę całować.

— Ty mój maminy chłopczyku, — powtarzała, — ty mój synusiu.

Całowany po twarzy i rękach Zbysiu zachowywał się pasywnie. Ale Balinowska była zgorzonna.

— Co też pani robi, pani Władziowa, — odezwała się, przystając. To grzech takiemu smarkaczowi w głowie przewracać.

— A bo to nie mój, chichotała Władziowa, a bo mi to nie wolno? No sam powiedz, Zbysiu.

Zbysiu nie mówił nic, tylko dobrotliwie się uśmiechał.

Władziowa była dziwną wogóle osobą — na pierwszy rzut oka bardziej podobną do koguta, niż do kobiety. Mała, jak dziecko, ale zdrowa i mocna, jak z żelaza. Oczy miała na wierzchu, nos sterczący, jak dziób, a włosy skręcone w mały zwitek na samym czubku głowy. Była wesoła, głośna i gadatliwa. Na jej szyi niezmiernie długiej, wszystkie widoczne żyły latały wciąż i grały od jej pośpiesznych słów. Ramiona spadziste, jak na starych mianaturach, obejmowały ciasno klatkę piersiową, w której, jak u każdego, mieściły się płuca, serce i zębra, a razem nie było to większe od dobrej pięści. Z tem wszystkim stan miała długi, tak że na brzuch i biodra wcale jakby pod spódnicą nie było miejsca. Wydawało się, że jej krótkie i krzywe nogi sięgają do pasa.

Ta Władziowa, choć się tak jakby z męża nazywała, była panną i miała swego Zbysiu z młodym pomocnikiem mularskim, którego ledwie pamiętała i który ją nigdy nie obchodził. Od tego czasu musiała wciąż zmieniać służby i zawsze była w poszukiwaniu nowej, bo jej nikt w obowiązku z dzieckiem trzymać nie chciał. Godziła się do służby podstępem, wyznając wprawdzie, że ma dziecko, ale dziecko „umieszczone”. W niedługi czas potem przeprowadzała nagle Zbysiu niby na tymczasem, na jeden albo dwa dni. Liczyła, że się dziecko państwu spodoba, że zachwycą się niem, jak zachwycala się ona, i pozwoli mu zostać przy niej w służbie. Nigdy jednak to się nie stało. Tak proste człowiecze szczęście było nieosiągalne.

Gdy oznajmiano jej, że ma się zabierać i iść z dzieckiem, gdzie jej się podoba, podnosiła gwałtowny protest. Zdawała się być bardziej zdumiona, niż oburzona. Jej głos słychać było na schodach, strychach i podwórzach. Krzyczała, że to są przecież ludzie bez sumienia, że to są katy! „Co to jest, co to ta-

kiego jest, wołała, żeby rodzona matka nie mogła mieć swojego dziecka przy sobie!”.

Czasami znaleźli się lepsi państwo, którzy sami robili starania i z wielkimi trudnościami, przez wysoką protekcję, umieszczali wreszcie chłopca w jakimś zakładzie. Ale Władziowa nie mogła długo spokojnie wytrzymać. Po miesiącu albo dwóch wpadała nagle do zakładu i wielkim głosem domagała się względów dla swych pogwałconych praw matki.

Gdy trafiła na opór, gdy szło choćby o jakieś powstrzymanie natychmiastowe wydanie dziecka, formalności, Władziowa, robiła straszne sceny. Groziła, że okna im wybija, że dom podpali, nawet że pójdzie po policję donieść na tych, co cudze dzieci matkom rabują. A Zbysiu słucał tego ze spokojem, przyzwyczajony do odmian losu i porywczego temperamentu matki. Przyjmował wszystko pobłażliwie z dyskretną, siedmioletnią ironją. Znał życie. Z czystych rozległych sal ochron i przedszkoli, gdzie był męty, kąpany i żywiony, przechodził bez protestu do dusznych kuchni, skąd go natychmiast wraz z matką wyrzucano, do szpitala, gdzie go kazolowano, albo do sutereny Wylamów, w brud, ciemności, przekleństwa i nędzę. Znał to wszystko i niczemu się nie dziwił.

Miał po trepanacji za uchem otwierający się co jakiś czas ropień. Chodził wtedy z główką obandażowaną, a struchlała Władziowa zostawiała niedokończony obiad na blasze i prowadziła dziecko do szpitala na operunkę. Zbysiu nie bał się doktorów ani bólu, przystawał na wszystko, uśmiechał się łaskawie, mrużąc wspaniale jasne rzęsy na wąskich oczach. Był ładny, miał delikatne rysy i uśmiech skromny i uroczy. Witął się i żegnał jak dorosły. Doktorzy i zakonnice pamiętali go i lubili. Gdy przechodził korytarzem, chorzy wołali go z łóżek, żeby się przyszedł przywitać, żeby co opowiedział. Był popularny, nikomu nie odmawiał siebie, szedł na wołanie pogodnie, ufnie i żartobliwie.

Jeden z doktorów nauczył go, żeby na zapytanie: „czy lubisz kobiety?” odpowiadał: „pasjami”, nie wyjaśniając zresztą bliżej tej sprawy. Zbysiu przekonał się, że gdzie-



kolwiek to powtórzył, robił jaknajlepsze wrażenie. Był psychologiem.

Udawał bardziej naiwnego, niż był naprawdę, mówił już różne dowcipy własnego pomysłu, budząc śmiech, uznanie i pochwały. Co miał myśleć o sobie, za co siebie uważać?

Z ojcem Zbysiuńia poznała się Władziowa przez okno. Odnawiali podwórze w kamienicy i pewnego poranka Władziowa zobaczyła za oknem naprzód jego wiszące nogi, a później całego mężczyznę. Siedział w powietrzu na zawieszonym poziomo drabinie z mokrą szcnotką na kiju i kapał wapnem na wszystkie strony. Śmiał się do niej i gadał głupstwa, jak się kręciła przy blasze, a ona mu urągała, że jej zachlapał szyby. Zyczyła mu, żeby spadł i żeby sobie połamał gnaty.

Na wieczór przyszedł do kuchni, ale go, jak mówiła „parfors wypchła z kuchni”. Na drugi dzień malowali nizej, więc wisiał już przed inną kuchnią, ale na wieczór znowu do niej przyszedł schodami. Nie można nawet powiedzieć, że ją później „rzucił” i Władziowa tego nie myślała. Przychodził do niej na noc

Była to kobieta duża, czarna i chuda. — Koszyk postawiła na ziemi i zaczęła machać rękami.

— A to co — krzychała w szczerej rozpacz. — Znowu mi się ta warjata na kark wali z dzieciakiem. Jazda mi stąd! Zaraz! Nie puszcę do domu i już, na drugi raz nie będę taka głupia!

Władziowa siedziała na schodku, nie tracąc spokoju.

— Co też to kuma mówi, Jezus kochany — to jest takie przywitanie człowieka? Zbysiuńio, wstawaj, przywitaj matkę chrzestną, grzecznie, pocałuj w rękę, no, pocałuj. Coś już zapomniał się witać?

— Ja grzeczności żadnych nie potrzebuję. — Powiedziałam: na próg nie puszcę i już. Jeszcze mnie za tamto komorne nie oddała, a teraz mam ją na nowo brać.

— Ja nie zapieram, ja jeszcze nigdzie nie uciekam. Oddam wszystko. — Nie taka jestem, żebym się długu zapierała. Znają mnie ludzie, kto jestem.

Wylamowa wciąż mówiła do trzecich osób, które się powoli gromadziły w tem miejscu.

rozpaczą. — Niech już tylko ona się zwali, to parę miesięcy jej nie da rady wygnać. Niema przed nią schowania ani nic. Do łózka człowiekowi wlezie, z garnka wyje!

Jednakże gdy pociągnięta wielkim hałasem Michalina po raz drugi wyszła na schody z kuchni pani Koliczowskiej, Wylamowa, gniewnie jeszcze mamrocząca, ale zrezygnowana, otwierała już z korytarza sutereny drzwi swojej izby. A Władziowa zaraz za nią wpełnęła Zbysiuńia i poduszki.

Kiedy wracała na schody po kuferek, Michalina, oparta o poręcz, mówiła do Ignacowej:

— Takiej to powinni podług prawa dzieciaka odebrać i już go nie odawać na zmarnowanie.

Ale Władziowa była już szczęśliwa, że się przecież do Wylamowej dostała. Nie w głowie jej teraz było się klócić. Siadła na chwilę na kufkeru i ze śmiechem mówiła:

— Pani wie, że ja za chłopami nie latam, prawda? Ale niechby mi tylko naprawdę dzieciaka nie oddali — to co, pani myśli, dużo mi zrobią! Ja chłopca nie potrzebuję, ale święcie pani powiem, jakby mi wzięli dzieciaka, zarazbym się postarała o drugiego. Dla mnie życie bez dziecka to nie życie”.

ZOFJA MIANOWSKA

## AUTORKA CZY BOHATERKA

Wśród literackich zdarzeń ostatnich miesięcy niewątpliwie najgłośniejszym, najbardziej interesującym było ukazanie się powieści Marji Kasprowicowej.

Zemocjonowało zarówno krytyków zawodowo grzebiących w literaturze jak i zwykłych „miłośników” twórczości autora „Hymnów”.

Zdaje mi się, że „Dziennik” Kasprowicowej da się określić jako sensacja natury nie tylko czysto literackiej.

Oto odkryła się niespodzianie przed czytelnikiem, cała omal, mimo skreśleń i usunięć pewnych fragmentów, intymność pożycia dwojga ludzi, nie będących już wytworem fantazji pisarskiej, ale żywych, znanych, bliskich społeczeństwu.

Jakiemż tu oczami patrzeć na Dziennik? Jedni z krytyków uznali go za błogosławioną kopalnię wiadomości o poecie, inni za cziogodny podręcznik dla towarzyszek poetów, jeszcze inni jako samodzielny twór literacki — świetnie skomponowaną analizę współżycia dwóch nieprzeciętnych jednostek.

Punkty wyjścia były różne i nieraz występowały równocześnie.

Ta wielopłaszczyznowość ujęcia świadczy niewątpliwie i o bogactwie treści i o pełni wyrazu „Dziennika”. Wśród wielu ujęć możliwych i słuszych mielibyśmy się chyba jeszcze jedno: spojrzenie na „Dziennik” jako na utwór „o sobie samym do potomności”, jako na powieść autobiograficzną, niewątpliwie interesującą dla psychologa. Ironicznie zauważył Irzykowski, że pod reżimem kapitalizmu wszelkie wrażenie stało się towarem na sprzedaż i nigdy niewiadomo, czy czyjaś żona, kochanka, siostra a nawet ciotka i babka nie napisze i nie wyda pamiętników o piszącym tuż po jego śmierci albo i wcześniej.

Jeśli więc istotnie „wybiła godzina kryzysu dyskrekcji”, skoro w tajemne zakątki serca wdziera się księgarz, a za nim ciekawa publiczność — może i czytelnik wyrzec się dyskrekcji.

Może, wprost przerywając nie identyfikacji bohaterów książki i życia, zmniejszyć dystans, dzielący go od pani Janowej Kasprowicowej, i podjąć kuszącą próbę analizy bohaterki jej książki — żony sławnego poety.

A więc — Marusia Bunina, córka rosyjskiego generała, urodzona i wychowana w filisterskiej, burżuazyjnej atmosferze, sięga niejasnymi przeczuciami poza tę sferę.

Bardzo młoda i chciwa życia, bystra, o inteligencji chwytniej, łatwo asymilującej kształty cywilizacji zachodniej — poznaje starzejącego się już poetę, zdobywa i zostaje jego żoną.

Co ich łączy?

Dzieli — różnica wieku, organizacja psychiczna, tradycje środowisk, narodowość. Tak oto przedstawia się temat psychologiczno-literacki, kryjący w sobie odrazu możliwości konfliktu. Wystąpią one wszystkie, choć z niejednakową mocą i wyrazistością. Staną naprzeciw siebie — on twardy, surowy a dobry, o psychice, której prostota wodzi się z pokładów duszy chłopskiej, genialny potomek jakiegoś Boryny wielkopolskiego, — ona bardzo młoda, zwichrzona wewnątrz, giętka, pełna odwagi życiowej i tęsknot mglistych, azjatyckich mistycyz-

mów i bezwzględności, łącząca w sobie „rozkosz okrucieństwa i ludzkiej litości”, dziedziczka nieokreślonych tatarsko-ruskich przemieszkań, prosta a chytra, wzruszająca się a chłodna. Rosjanka.

W spokojne życie starzejącego się mężczyzny wprowadza niepokój.

Jest coś „nienaturalnego” w połączeniu się tych dwojga ludzi i czuje to on, nie mogący uwierzyć dogłębnie w możliwość powrotu wiosny — jesienią.

Dlatego też owe upokarzające czytelnika sceny zazdrości, objawy goryczy 50-letniego mężczyzny, któremu los daje, jakże poniżającą, rolę męża-kochanka, obawiającego się rywali. Kiedy Marusia oswoi się ze swym niezwykłym losem, z cieszącą jej kobiecą ambicją myśla, że zdobyła niezdołytego przez inne, wybiegnie niespokojną nienasyconą fantazją naprzód.

Puszczą wodze marzeniom, a wszystkie owiną się dookoła miłości.

Tematu dostarczy aktor filmowy, widziany w obrazie kinowym i ci, wciągani w orbitę jej niepokojów — wytworny Francuz, polski generał, bułgarski literat i inni.

Jej filozofia miłości mówi jej, że kobieta odda sławę i powodzenie za pocałunek wybranych ust; że, aby być naprawdę kochana, musi kochać mniej, że mężczyzna potrzebuje raczej sztuki kochania.

Marusia tę sztukę posiada.

Na dnie jej nurtu psychicznego spoczywa wellsowska „imaginacyjna zmysłowość”, której mistyczne emanacje przyciągają mężczyznę. Marusia jednak kokietuje duszę; odtrącając szablony konwenansu, sięga z rosyjską łatwością do duszy człowieka, mówi o Bogu, życiu, duszy i — o sobie.

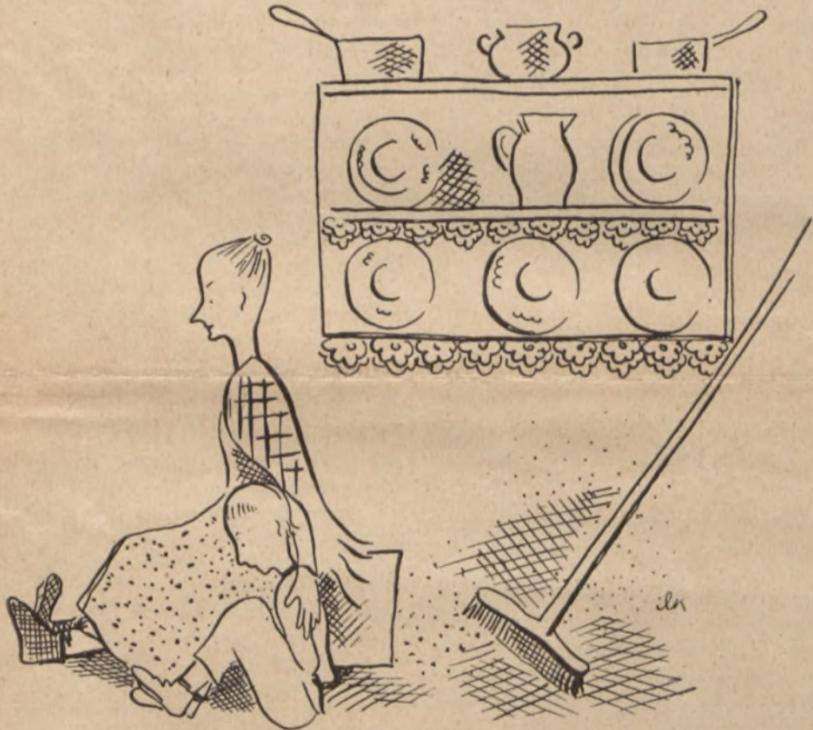
Jest istotnie bardzo duży talent w tem oddaniu wibracji duszy rosyjskiej, jej obnażania się, jej charakterystycznego daru samoanalizy. Nazbyt znany z powieści rosyjskiej ową bezpośredniość, brak rezerwy wobec duszy innego, a zarazem ową mglistą intymną nastrojowość.

Powiedziano o Galsworthym, że był gentlemanem w stosunku do swych bohaterów, nie spoufalal się z nimi, lecz zachowywał czujną i dyskretną postawę gotowości zbliżenia. Tego brak bohaterce, a jedną z przyczyn tego ekshibicjonizmu jest może słabe poczucie rzeczywistości. Sama ona wydaje się nam odrealniona, a w swej zmienności jakaś „nieistotna”: mamy wrażenie, że jest coraz to inna, mimo iż ta sama, bo, choć to brzmi paradoksalnie, nigdy nie jest sobą.

Inspiratorka jednego poety, chciałaby wcielać się w postaci towarzyszek wszystkich poetów świata, bo wierzy, że każdemu z nich umiałaby stworzyć właściwy mu klimat. Obcując z nią na przestrzeni jej przeżyć kilkunastoletnich, widzimy ją i głównie ją w tysiącnych odbiciach zdarzeń, wypowiedzi, impresji, ocen innych ludzi. Zastawiamy nam za często poetę, którego wypowiedzi przeważnie nikną lub dochodzą w słabym streszczeniu.

Nielatwo wyobrazić sobie tę kobietę w trudzie surowego, codziennego życia, pełną treści wewnętrznej, wytworzonej samodzielnie na własny użytek duchowy.

A może właśnie to wszystko razem — cały zespół jej cech intelektualnych i psychicznych predestynował ją na „rasową i genialną”, jak chcą niektórzy, Beatrycę?



póty, póki odnawiali dom. A jak poszli sobie gdzieś indziej, przestał przychodzić. Nie nazywał się wcale Władzio, tylko zdaje się Wicus. — Ale ona miała na imię Władzia, a że została matką, to się przerobiła na Władziową, żeby było przyzwoicie. Nikt się zresztą na to nie brał, bo w paszporcie miała, że jest niezamężna.

— W życiu mojem nie byłam taka szczęśliwa, jak kiedy tego dzieciaka nosiłam w brzuchu, — mówiła. — Zawsze wyglądałam mała i chuda, to nikt nie poznał i do tej ostatniej godziny sobie spokojnie byłam w obowiązku. A potem, jak zaczęłam rodzić, to grzecznie mówię: do widzenia, graty mam pocichu zapakowane i już mnie niema. — Siadłam w tramwaj i pojechałam do szpitala. Tak się malutki urodził, jak kot — ledwie czuła.

Tym razem, na podwórzu kamienicy przy ulicy Staszycy, awantura wybuchła z tą samą chwilą, gdy Wylamowa ukazała się z bramy i przed drzwiami do sutereny zobaczyła Władziową ze Zbysiem i pakunkami.

— Nie potrzebuję jej pieniędzy ani nic! tylko niech mi ta djablica z oczu schodzi!

Balinowska, dozorczyń Ignacowa, Chąćbina, różne baby z sutereny i podwórza ustawiły się naokoło, żeby popatrzeć. Wzmocniona tem audytorjum, pewna jakby akustyki psychicznej, Władziowa nabrała rozmachu, wzięła najwyższy ton. Zagroziła, że jak jej Wylamowie nie wezmą ten ostatni raz, to szyby w całej kamienicy wybije, dom podpali. Niech się z nią później prawują po sądach, jak chcą, niech jej szukają.

— Cóż to są za świny te ludzie na świecie — krzychała, dziwiąc się raczej i gorsząc, niż oburzając. Zeby biednej kobiety z dzieckiem nie przenocować? To ja mam chłopaka zgładzić ze świata, czy co!

Kobiety wyrażały różne opinie o tem zagadnieniu. — Chąćbina i Ignacowa broniły Wylamowej — Balinowska stanęła za Władziową.

— Co to jest przenocować biednego. Czy to kosztuje?

— Ale, jej się akurat o nocleg rozchodzi, — wołała Wylamowa z

DYSKUSJE

NIE TE CZASY!

Prasa narodowo-demokratyczna wystąpiła z artykułami, formułującymi zasadnicze stanowisko stronnictwa w najważniejszych sprawach politycznych i nawołującymi obóz rządowy do jasnego wypowiedzenia się w kwestji żydowskiej. Ta bowiem kwestja — zdaniem prasy n. d. — stanowi istotną rozbieżność pomiędzy programem rządowym i nacjonalistycznym.

Ze kwestja żydowska w Polsce jest problemem złożonym, że doniosłością swoją wybiega daleko poza politykę, wiążąc się z pierwszorzędnej wagi zagadnieniami kultury narodowej — temu nikt, sądząc, nie przeczy. W obiegu społecznym istnieje wiele poglądów na rozwiązanie kwestji żydowskiej i jest rzeczą naturalną, że wśród tych poglądów znajduje się również pogląd skrajny — antysemityzm.

W teorii — reprezentuje go stronnictwo narodowo-demokratyczne. Ponieważ zaś to właśnie stronnictwo upomina się dziś o uznanie dla swego poglądu — nic przeto naturalniejszego, niż pytanie: czy jest i jaki jest antysemityzm narodowo-demokratyczny?

Polityka antysemitcka może się realizować w sposób dwojaki. Albo przez antysemitckie ustawodawstwo, albo przez taką organizację społeczeństwa, która w ramach istniejącego porządku prawnego, dąży do wyparcia Żydów ze wszystkich placówek kulturalnych i gospodarczych, do sparalizowania ich działalności we wszystkich dziedzinach życia.

Ponieważ w Polsce niema ustawodawstwa antysemitckiego, przeto pozostaje dla antysemityzmu tylko druga droga — przez organizację społeczeństwa.

Jakież ta organizacja wygląda? Wychodzi w Poznaniu piśmko „Pod Pręgierz”, całkowicie „poświęcone” propagandzie antysemitckiej. Nie mówię o „poziomie” tego czasopisma. Jest poniżej wszelkiego poziomu. To zresztą — w oczach wydawców — dodaje mu zapewne wartości: pismo łączące „zabłądzi pod strzechy”. Antysemityzm, przemawiający stylem „Journal des débats” nie znalazłby „oddźwięku w masach”. Nie o poziom więc chodzi, ale o treść, o jaką taką konsekwencję, o zdrowy sens. To bowiem chyba obowiązuje, nawet w myśl kanonów taktycznych Stronnictwa Narodowego.

I cóż składa się na tę treść? — Oto dowiadujemy się np., że panna Zuzanna z Piekar przyjaźni się z panną Szpryncą z ulicy żydowskiej. Aby zaś fakt ten wiekopomny przeszedł do historii, — tygodnik umieszcza fotografię, na której widzimy pannę Zuzannę, przechadzającą się w towarzystwie panny Szpryncy po Placu Wolności. Babina z Gostynina czy Swarzędza przyjedzie w odwiedziny do córki „w służbie”, a przy okazji kupi sobie u Żyda parę trzewików — buch fotografja! Specjalny agent kręci się koło sklepów żydowskich, czyhając na ofiarę, które niezwłocznie „objektywizuje”. Czasem znajdziemy podobiznę właściciela domu, który Żydowi wynajął lokal. Ale dość spojrzeć na te wszystkie dość beznadziejnie fizjognomje, aby zaraz zrozumieć, że to są wszystko ludzie bezbronni, ludzie, na których kara spada „jak piorun z jasnego nieba”, których (jeśli już stanąć na stanowisku antysemitckim) może jakaś poważna konieczność życiowa zmusiła do zadawania się z Żydami, ludźmi, którzy „nie wiedzą, co czynią”. Łupem „Pręgierza” są panusie, ćwoki, matolki, istoty z pod progu świadomości. Wiadomo, na nich zawsze można użyć. Ale krewkie piśmko nigdy jakoś nie zaczepi tych, na których tego rodzaju reklama oddziaływałaby ze skutkiem piorunującym — elitę, ludzi ze świecznika.

A tutaj właśnie okazje zdarzają się pierwszorzędne. Nawet ze stanowiska oszczędności możnaby „Pręgierzowi” zalecić zwrócenie uwagi na tę klientelę. Nie trzeba by najmować agentów, chwytających na klisze przechodniów. Pięknych fotografij dostarczyłyby najdosłojniejsze „bratnie” organy. Byłoby nietylko taniej, ale i zabawniej. Ale tych fotografij „Pręgierz” nigdy nie umieści. Wiadomo: antysemityzm obowiązuje na eks-

port — elita antysemitcka jest wolna od jego nakazów.

Kiedy znakomity wirtuoz żydowskiego pochodzenia miał koncertować w Poznaniu, czołowy dziennik narodowo-demokratyczny umieścił jego fotografię z inteligentnym dopiskiem, że artysta złożył kiedyś znaczny datkę na budowę kościoła... — ergo: nie należy go bojkotować. Jak widzimy, nie tak znowu trudno wykupić się od prześladowań naszych „rasistów”. Ach, i kryterja tego „rasizmu”, zadowalającego się datkiem na kościół! Nie, stanowczo papa Hitler robi to dokładniej.

Do antysemityzmu endeckiego mam żal, głęboki żal osobisty. Bo to przecież okropne, że mówiąc o nim, wkracza się nieodzwonnie w sferę plotki, anegdoty, faits divers. Chciałoby się pomówić o poważniejszych rzeczach, rozgryźć kompleks, zajrzeć do środka — wszystko na nic! Wciąż się objazd o jakiś Pikutków duchowy, o żałosną niemoc, plotkę, płaską niekonsekwencję, która nie otarła się nigdy o tragizm. I tu znowu można westchnąć za Hitlerem. Można westchnąć szczerzej, zwalczając go i nie nawidząc, niż endecy, którzy biją przed nim pokłony. Bądź jak bądź, ale hitleryzm, to jest robota, ryzyko, fantazja — chamska, plugawa, ale jednak fantazja.

Jeszcze przykład. Pisarzowi, mającemu domieszczkę krwi żydowskiej, — o ile nie jest narodowym demokratą — dostaje się od „dwuzydziaków Polaka”. Jeśli jednak pisarz z takim samym składem krwi jest endekiem — należy do elity narodowej. Innymi słowy: endecy praktycznie uznają to, co uznają ludzie z poza ich obozu — że istnieje silne zrosty psychiczne, które przelamują przeszkodę rasy i wyznania i włączają jednostkę do kultury polskiej. Doskonale, trzeba tylko to powiedzieć otwarcie, a nie kokietać jakimś rasizmem à la Hitler.

Coprawda, jest pewna zasadnicza różnica pomiędzy przyjęciem do rodziny polskiej, które pewnym Żydom przyznaje każdy uczciwy Polak, a indygenatem endeckim. Oto endecy jako warunek przyjęcia żądają, aby człowiek moralnie skopał swoją przeszłość, wyrzekł się jej, przeklął ją.

Z tem nielatwo mi się zgodzić. Zanadto jednak jestem — nacjonalistą... Nie mogę uznać za „dobrego Polaka” dopiero takiego semity czy pół-semity, który wypisuje po gazetkach obłądne paszkwile na Żydów. Nie, tu się nie zgadzamy, tu coś nie sztymuje. I jakoś trudno mi uzgodnić ten Standpunkt z pojęciem godności narodowej... Mojem zdaniem, panowie endecy powinni by wybrać: albo antysemityzm absolutny, hitlerowski — albo bardziej ludzki i cokolwiek sceptyczny. Ale jeżeli już ten drugi, — sympatyczniejszy dla mnie — no to muszą zrezygnować z uroszczeń absolutnego rasizmu, które tu ani rusz nie pasują. Ale nasi poczciwi endecy, to jak ten chłopak, coby chciał i leguminę, i wieczorem do cyrku: sceptycyzm — na własny użytek, ale broń Boże do tego się przyznać! Dla galerji odwalac dalej hitlerowskie kabotyństwa.

No tak, ale to na dłuższą metę nie pójdzie!

Mści się tu osławiony endecki „rozsądek”, endecki „realizm”. Zawsze ogłędnie, trzeźwo, nie za wcześniej i nie za późno. Przedtem zbadać konjunkturę, wypytać wszystkie wróżki, a potem, jak wszystko okaże się murowane, no wtedy można zacząć działać. Gromoność w artykułach wstępnych; na codzień: czekać, aż tak się wszystko ładnie złoży, że będzie można odrazu urządzić świat według swego planiku. Ach, drodzy panowie, cóż robić, kiedy czasem trzeba być warjatem, aby nazajutrz zrobić coś niesłychanie trzeźwego i realnego. Nigdyście tego nie rozumieli. Tak i teraz. Nie możecie się zdecydować na prawdziwy antysemityzm, no bo to wymagałoby wyrzeczeń, ofiar, na które was nie stać. Więc wolicie czekać. A tymczasem odwalac antysemityzm na niby.

Nie da rady panowie, — nie te czasy!  
J. E. Skiński

TADEUSZ STERZYŃSKI

NOWE TORY ZDROWEGO ROZSĄDKU

Puryzm długie ma za sobą dzieje, w różnych też się przejawiał i przejawia kształtach. Możnaby przytoczyć niemały poczet dostojnych zwolenników puryzmu umiarkowanego. Aby ograniczyć się do kilku nazwisk, wystarczy wspomnieć o Cyceronie („Sermo purus erit et latinus”), Kancie (Fremde Wörter verraten entweder Armut, welche doch verborgen werden muss, oder Nachlässigkeit”), Goethem („Die Muttersprache zugleich reinigen und bereichern ist das Geschäft der besten Köpfe”) Janie Sniadeckim („Zle zdaje mi się, sądzą ci, którzy rozumieją, że się język bogaci, kiedy do swych ubiorów przyjmuje obce. Jest to owszem najkrótsza i bita droga do jego zguby”), Mickiewiczem („Są języki, co przyjmują słowa cudzoziemskie i przeto się gubią”).

Na nie byle jakie przeto powagi mógł się ks. B. Szeffs powołać, kiedy przed dziesięciu mniej więcej laty wszczął wałkę z wyrazami obcymi. Póty zasypywał redakcję „Języka Polskiego” gromiącymi listami, aż wreszcie skłonił ją do zajęcia w tej sprawie stanowiska i ogłoszenia do współpracowników i czytelników wezwania, aby unikali zbędnych wyrazów obcych. Za sprawą ks. Szeffsa rozwinęła się też na ten temat zajmująca i płodna dyskusja na łamach „Języka Polskiego”. W r. 1926 ks. Szeffs wydał rozprawę p. t. „O czystości i sprawności mowy polskiej” (Pelplin, s. 104). Językoznawcy, jakkolwiek podkreślali nienaukowość i jednostronność stanowiska ks. Szeffsa, zasadniczo jednak dążeniu jego nie mogli odmówić słusności. W „Języku Polskim” wyrażono mniemanie, że „ks. Sz. dojrzałby się sprawie przysłużył, gdyby opracował słownik wyrazów obcych w języku polskim z dodanymi radami, które z nich i w jakich warunkach pozostawić, a które i czem zastąpić”.

Ks. Szeffs poszedł jednak inną drogą.

W r. u. ukazała się książka jego p. t. „Nowe tory” (Tuchola-Pomorze. Drukarnia i księgarnia Jana Lewandowskiego s. 145). Tytuł o tyle nieszczęśliwy, że jego ogólnikowość mogłaby zaszkodzić zasłużonemu zresztą rozgłosowi książki. Pokusił się w niej autor o „przedstawienie stanu języka czasów najnowszych, a zwłaszcza doby dzisiejszej”. Chodziło mu zwłaszcza o napiętnowanie uchybień gramatycznych, stylistycznych i logicznych, zdarzających się zdaniem jego na porządku dziennym we współczesnym piśmiennictwie. Tripiąc te różnorakie uchybienia autor zapędził się w ostępy prozy artystycznej i poezji. Sposób w jaki sobie z nimi poczyna stanowi o niezwykłości książki i uzasadnia jej tytuł: „Nowe tory”.

Pierwsza część książki zawiera: „przeгляд dzieł i czasopism z wykazem i omówieniem błędów językowych, uchybień stylistycznych i rzeczowych lub myślowych”. Rozpatrzył tu ks. Szeffs następujące dzieła i wydawnictwa: J. Dąbrowskiego „Dzieje Polski”, prof. S. Piłgonia wstęp do wydania „Pana Tadeusza”, prof. S. Kota wstęp do wydania „Kazań sejmowych”, Boya-Zeleńskiego „Ludzie żywi”, Stefana Zeromskiego „Wiatr od morza”, prof. M. Rudnickiego „Wykształcenie językowe”, wreszcie czasopisma „Polska Wschodnia”, „Język Polski” i „Polonista”.

Z niezwykłą zaciekleścią zajął się tutaj ks. Sz. zwłaszcza „Wiatrem od morza”, przeprowadzając zasadniczą rewizję dotychczasowych poglądów na twórcę. Oto kilka próbek niezwykłych chwytów krytycznych autora i stylu aż nadto dosadnego:

„Smieszne, niedorzeczne określenia, zupełnie jak przenośnie i porównania, są stałą osobliwością tego „mistrza słowa”, np. nieomylne pazury, świątobliwy skowronek, śmiercionośna żmija, która sączy z rozkoszą — aż przedziwną! Przedziwne to zaiste opisy i obrazy, jakich pełno w tej rzekomej „po-wieści”. Cóż bowiem wspólnego mają z „powieścią” bez jakiegokolwiek związku ni stąd ni zowąd zjawiające się przeróżne zwierzęta? Szkoda, że Zeromski więcej zwierzęt nie przytoczył. To dopiero twórczość!” „Dziecinne te opisy dowodzą oczywiście niedoświadczenia pisarza, a zastąpić mają twórczość prawdziwą i zajmującą, na jaką nie stać Zeromskiego”, „...śmieszna polszczyzna tego rzekomego „mistrza słowa”.

„Istny groch z kapustą! Czyj żołądek

zdola strawić tę istotnie „dziwotworną mieszankę”.

W urywkach tych proza krytyczna ks. Sz. osiąga bodaj szczyt natężenia.

Do czegoż zmierza autor, pyta zdumiony czytelnik. Część druga książki, rozbita na szereg luźnych rozważań, ma być odpowiedzią na to pytanie. Prawdziwą twórczością — twierdzi autor rządzą zasady zdrowego rozsądku oraz „zasady czy prawa sztuki i piękna, przyrozone i wszechludzkie, czyli z natury właściwe wszem czasom i narodom”. Przeciw zasadom tym, wspólnym poczci i prozie, grzeszą często najwybitniejsi nawet pisarze. Jakże wadliwie niejednokrotnie posługują się pisarze figurami stylistycznymi, zwłaszcza przenośnią, porównaniem i uosobieniem. Ich duszą jest owo słynne „tertium comparationis”. Tam, gdzie nie jest ono widoczne jak na talerzu, lub choćby nie jest wzięte z potocznego życia, tam każda z tych figur upada. Czyż można np. porównywać ruchy walczącej Kmicica, jak to czyni Sienkiewicz, do ruchów rysia? Tu człowiek, a tu zwierz, jakież między nimi może być podobieństwo, i dlaczego pisarz upodobał sobie właśnie rysia, zwierzę mało komu znane. W ten sam mniej więcej sposób podaje autor rozbirowi urywki utworów Kopnickiej, Rydla, Reymonta, Zeromskiego i stwierdza: „Te jawne dziwactwa i tym podobne, jakich pełno u Zeromskiego, Reymonta i wielu innych mniej znanych „twórców” stały się istną zarazą...”

Chybione porównania zdarzają się zresztą również Mickiewiczowi, bo komuż zdołają się pomieścić w głowie obrazy i określenia, użyte w następującym urywku Farysa: „Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem” i t. d.

Pomijając inne rozważania stylistyczne autora, posłuchajmy, co mówi o opisach przyrody. Dłuższe opisy przyrody „powstałe” dopiero w XVIII w. „przerywają żywy tok utworu, którego głównym przedmiotem ma być człowiek”. To też autor stwierdza wręcz, że nie mają one „nic wspólnego z sztuką i twórczością prawdziwą, a tem mniej nas zajmują, jeśli mają być jakimś niby „uosobieniami”, lub mniemaną a istotnie nieraz wprost dziwaczną „harmonją nasładowniczą”. Opisy przyrody w „Panu Tadeuszu”, np. opis muzyki wieczoru, nie stanowią oczywiście wyjątku: Ta „muzyka” jest naprawdę bardzo dziwna, jak dziwne i niepojęte jest i to, że „niebo i ziemia dręmały obok siebie, jak małżonkowie szczęśliwi...” Drzemie, zaiste, czasem, dobry Homer — Quandoque bonus dormitat Homerus! Innej odpowiedzi na tę „wieczorną muzykę” niema!

„Dość już tego „chaosu”... Raz przecież ktoś oderwać się musi, by zło tak jawne wskazać i nazwać po imieniu. Pierwszy jestem, jak śmiało powiedzieć mogę, — pisze autor — który ma cywilną odwagę ku temu — w imię prawdy i nauki!” W przeswadczeniu spełnienia posłannictwa, ks. Sz., chociaż człowiek skromny, nie pomija żadnej stronicy, aby nie podkreślić swego pierwszeństwa i zasług.

Tak mniej więcej, w znacznym skrócie, przedstawia się tok rozważań autora. Najłatwiej oczywiście byłoby wyśmiać, wyszydzić to całe moralizatorstwo, te wymyślenia poprawnościowo-stylistyczne. Możnaby naprzykład, sypiąc cytatami wzorem autora, przytoczyć słowa Dmochowskiego: „Kto ma dowcip ścięziony i genjusz suchy, Tego pegaz przyozno, temu Febus głuchy”, albo też Goethego: „Wer der Dichtkunst Stimme nicht vernimmt. Ist ein Barbar, er sei auch wer es sei”. Możliwe też zapytać, co autor właściwie uważa za doskonały wzór stylu. Chyba nie utwory Dantego i Szekspira, jak sam mówi, lecz jakiś bezbłędny pod względem językowym katalog lub opis techniczny. Tu nie byłoby zapewne nieporozumień z tertium comparationis.

Zresztą autor sam się dostatecznie ośmięszyl! Szkoda jednak, że zmarnował przez to sposobność skutecznego wystąpienia w obronie dobrych obyczajów pisarskich, które przecież polegają przede wszystkim na przestrzeganiu podstawowych zasad sztuki pisania, a więc przede wszystkim poprawności językowej.

Uważam lotnictwo za najwygodniejszy środek komunikacyjny i będę latał wiele razy nadarzy się ku temu okazja.

Wacław Sieroszewski



# NA SCENACH STOLICY

**Teatr Narodowy: „U mety” — sztuka w 4-ach aktach z epilogiem Karola Huberta Rostworowskiego. Reżyserja — Ludwik Solski. Dekoracje — Karol Galewski.**

Łączenie „U mety” z „Niespodzianką” i „Przeprowadzką” w organicznie związaną trylogię, niema wewnętrznego uzasadnienia. Wprawdzie łączy te trzy utwory w jedną całość postać Franka Szywały, jednakże zagadnienie moralne, które stało u narodzin „Niespodzianki”, zostało tak całkowicie wyczerpane w „Przeprowadzce”, że gdy dziś jesteśmy „U mety”, to kończymy raczej dzieje sceniczne jednego z bohaterów i jego otoczenia, niż osiągamy kres podjętego problemu.

Bo „Niespodzianka” i „Przeprowadzka” są członami chrześcijańskiego dramatu wiary, kary i odukpiania. Z dna nędzy, poprzez straszliwą sprawiedliwość, którą starzy Szywałowie sami sobie wymierzili, dzieci ich wydzwignęły się ku lepszymu losowi, stały się ludźmi. I choć „U mety” nawiązuje do poprzednich części aforyzmem o odpowiedzialności dzieci za rodziców, choć nowy grzech Franka, obecnie już profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, polegający na wyparciu się swej przeszłości, ma tematyczny związek z poprzednimi częściami, to jednak moralny związek jest tu raczej pozorny. Rostworowski nie głosi i głosić nie może fatalizmu przechodzącej z pokolenia na pokolenie klątwy grzechu, raczej zdaje się rozumieć sytuację Franka, raczej usprawiedliwiać ją, niż ścigać go przekleństwem, jak Erynie ścigają wszystkich pokolei członków rodziny Agamemnona. Pragnąca pogodzić chrześcijański światopogląd z greckim ujęciem mściwego losu „Niespodzianka”, kończy się ekspijacją „Przeprowadzki” — a trzecia część trylogii podejmuje już inne zagadnienia moralne, pozornie tylko łączące się z poprzednimi.

Toteż wszystko, co jest w „U mety” wspomnieniem przeszłości, co nawiązuje do jakże już odległego grzechu starych Szywałów, to nawet pod ręką tak świetnego pisarza jak Rostworowski, nie posiada siły dramatycznej. Franek, czy też profesor Franciszek, jest już, choć niby główny bohater, postacią ornamentacyjną, niedość jasno pojmującą swoją sytuację i niedość silnie nas obchodzącą. Niejasny jest charakter jego miłości do Ludki Cimkiewiczówny i niejasne pobudki małżeństwa. Jego stosunek do szwagra również pełen jest niedomówień. Ta niejasność sytuacji moralnej ciąży na Franku aż do końca — jego odruchy są naprzemian bądź szlachetne, bądź niskie, ale właściwie autor odmówił nam klucza do ich poznania — nie mamy dla prof. Szywałskiego ani niechęci, gdy odtrąca swego szwagra, ale też nie mamy sympatii — gdy zrywa z swoją niedoszłą żoną w akcie ostatnim. Pozostajemy obojętni dla spraw jego sumienia.

Ale bo też „U mety” nie urodziło się bynajmniej z wewnętrznej konieczności autora nakreślenia dalszych losów Franka — inna

to potrzeba kierowała autorem „Niespodzianki”, gdy zasiadał do pisania ostatniej części trylogii. To „ulubieniec” jego z „Przeprowadzki”, to Feluś Zajac pobudził Rostworowskiego, aby raz jeszcze swą mistrzowską technikę, swój niebywale sugestywny dIALOG poświęcił temu samemu, do szczętnie już wyczerpanemu poprzednio tematowi. Feluś Zajac odpowiada najpełniej społecznemu idealowi Rostworowskiego. Ten prosty, dobroduszny, szczery, uczciwy do gruntu, ofiarny i skromny proletariusz, który ciężar życia niesie na swoich barkach ze śpiewem, a jakże chętnie dokłada sobie jeszcze ciężaru życia innych, skupia na sobie tyle sympatii autora, tak go cieszy, tak ujmuje, że poprostu czuje się, iż nie chce się z nim rozstać. To też właściwą treścią „U mety” jest ponowne ratowanie Franusia przez Felka, ratowanie, powtarzające te same motywy co w „Przeprowadzce”, tylko że powody tej akcji samarytańskiej poprzednio były bardziej wąskie i bardziej klarowne. Tam Franek i Zosia nie mogli dać sobie rady z życiem, czekał ich nietylko głód, ale i upodlenie. To było niezwykle proste, ale też i prosta akcja Felka przekonywała widza bezapelacyjnie. Powody, dla których Feluś tym razem zabiera się do ratowania Franusia, bynajmniej nie są tak jasne: czuje to sam bohater, kiedy to po parę razy w sztuce zmienia swoje stanowisko, raz za wszelką cenę starając się oderwać przyjaciela od Ludki, aby znów za chwilę pod wpływem wzruszenia, usiłować ich pogodzić i związać napowrót. Felek jest zupełnie pewny, że każda rzecz, wzięta odważnie na proste serce człowieka, może być pomyślnie załatwiona. Po stronie takiej koncepcji społecznej opowiada się sam autor, choć w innych swoich sztukach taki sceptyk. To też tragiczny finał epilogu, zawiadamiający nas o śmierci profesora Szywałskiego, który w samobójstwie szukał rozwiązania dręczących go spraw, nie czyni wrażenia czegoś organicznie wypływającego z przekonania autora: to jakby asekuracja, aby ten przemily Felek, którego zadanie zostało właściwie już całkowicie wyczerpane w „Przeprowadzce”, nie wtargnął znów na scenę w części czwartej i znów nie podjął ofiarnej akcji ratowania ukochanego szwagra.

Słucha się „U mety” z głęboką radością, że posiadamy dramaturga, który z takim mistrzostwem i taką brawurą talentu rozwiązuje raz jeszcze ten typ dramatu mieszczańskiego, który w Polsce miał zawsze świetnych autorów z Baluckim i Zapolską na czele. Ale trudno nie oprzeć się wrażeniu, że może postaci kapitalnej „Niespodzianki” zadługo okupowały wyobraźnię autora, że może rozdrobniały na sprawy łatwiejsze czas, który mógł wydać nowe arcydzieło o takiej mocy, jak „Judasz”, „Kaligula”, „Miłosierdzie”, czy „Niespodzianka”.

Myśli się o tem po wyjściu z teatru. W teatrze jest się pod wrażeniem tej gry doskonałej, na którą stać zawsze polskiego aktora w sztukach o melodramatycznym podłożu i silnie realistycznym zabarwieniu. Taki p. Hnydziński był poprostu idealnym wcieleniem Felka, a p. Dominiak stworzył pełnego człowieka z dorobkiewicza Cimkiewiczem. Ale właściwie wszyscy grali bardzo dobrze, z wyjątkiem tych dwóch osób, które najmniej jasne są w samej koncepcji autora — prócz profesora Szywałskiego i jego niedosłej żony Ludki.

**„Sprawa Dantona” St. Przybyszewskiej na scenie Teatru Polskiego. Reżyserja Al. Zelwerowicza. Dekoracje St. Śliwińskiego.**

Autorka pomyślała swoją sztukę jako szereg scen raczej o charakterze monumentalnym. Lubowała się w scenach masowych, a nawet tam, gdzie niema bezimiennej masy na scenie, najchętniej wprowadzała naraz po kilkanaście, niezawsze koniecznych w takiej liczbie osób, żeby nadać utworowi ten charakter publicznego działania, który cechuje wybraną chwilę dziejową.

Przeciwstawił się tej tendencji zdecydowanie reżyser widowiska, p. Zelwerowicz. Wyszedł on z założenia, że sens „Sprawy Dantona” polega na starciu idei, że ideje najlepiej wypowiadają się przez sugestywność dialogu, że więc należy utwór ukameralnić, aby widz wysłuchać mógł wszystkie subtelności dramatu. Udało mu się to niewątpli-



U mety: Akt II-gi Dominiak (Cimkiewicz), Hnydziński (Felek), Ziemiński (prof. Szywalski)

wie w szeregu scen, gdzie usunięcie nadmiaru figur drugorzędno znaczenia, ukameralniło założenia dramatu. Szereg scen o charakterze masowym zostało bądź zupełnie usuniętych, bądź tak spreparowanych tekstowo, że monumentalność ich została znacznie umniejszona. Pozostały właściwie tylko dwie sceny: na posiedzeniu Konwentu i przed Trybunałem Rewolucyjnym, które miały nieco bardziej widowiskowy charakter. Lecz te dwie sceny właśnie budzą najwięcej wątpliwości — w nich bowiem powinna się była odbić inscenizacyjna ambicja samej autorki, tworzącej chwilami pod wpływem Rostworowskiego („Judasz”, „Kaligula”, „Straszne dzieci”), ale przetwarzającej jego technikę bardzo indywidualnie. Ukameralnienie tych dwu scen nie dało pomyślnego rezultatu: nie było to celowe uproszczenie scenariusza ale poprostu umniejszenie sugestywności widowiska.

Z pośród wielu postaci „Sprawy Dantona” trzy są wielkimi rolami dla aktorów: Danton, Robespierre i Desmoulin. W Teatrze Polskim na plan pierwszy wysunął się Junosza Stępowski jako Robespierre, choć i dla autorki był on najbardziej plastyczny. Metoda tworzenia postaci historycznych Junoszy jest powszechnie znana: jest to realizm drobniawy, najbardziej drobniawowy od czasów Kamińskiego, studjowany zarówno na ikonografii, jak materiałach historycznych i opisach. Junosza dba o wierność sylwety bohatera, a jest jednym z najbardziej pracowitych mistrzów autocharakterystyki. Jego Robespierre przedewszystkiem opiera się o tę charakterystykę zewnętrzną, do której należy również szczególnie sposób sztywnego noszenia figury, nieruchomość maski, cera białozłota i jakby niewidzące, ciągle mrugające oczy. Głos jego graniczny niemal z falsetem, choć jest równy i beznamiętny. Ale pod maską tę czuje się wulkan zdławionej przez potężną wolę namiętności. Jego mózg pracuje nieustannie, choć nie wyprzedza woli — postępuje krok za krokiem poza nią, czuje się jego wyprzedzające słowa działanie, skąpe w gest, lecz jakże nie do odrobienia, jakże nie do cofnięcia! Ten Robespierre nie dosięga kreacji Junoszy, które dawały dramatyzm własnej koncepcji wewnętrznej — jak np. w Otellu. Ale jako portret historyczny w świetnie dorobioną do niego maszynę wewnętrzną, należy do najwspanialszych kreacji znakomitego artysty.

Danton udał się Samborskiemu tylko poprostu. Wygrywał on na instrumencie swego donośnego głosu i na witalnej sile swego organizmu wszystkie kabotyństwa trybuna ludu z niezwykłym mistrzostwem. Szczytem jego kreacji była scena z żoną, gdy widok jej radości na myśl o ostatecznym rozstaniu uderza go obuchem prawdziwego potężnego bólu. Stosunkowo łatwo jest wygrać szczerze cichy ból ludzki — być jednak szczerem w bólu, gdy się operuje brutalną i hasłaśliwą ekspresją, na to trzeba prawdziwie wybitnego talentu. Natomiast te sceny i momenty, w których Danton z musu czy wyrachowania przechodzi do zmagania się z przeciwnikami i szczerego argumentowania (w scenach w gabinecie restauracyjnym, w więzieniu z Philippeaux, w drodze na szafot) wypadły nienajlepiej: nie było w nich tego nieoczekiwane i sugestywne wrażenie, jakie można osiągnąć przez gwałtowną zmianę wewnętrznego tonu.

Młody Kreczmar jako Desmoulin zdał nielada egzamin. Jego technika jest już dziś zupełnie dojrzała, jego młodzińczość umie znaleźć sobie wyraz plastyczny. Będzie z niego, i to już bardzo niedługo, tegi aktor. Tembardziej wydaje się to pewne, że rola Kamila Desmoulin's'a u Przybyszewskiej należy do szczególnie trudnych i nie najbardziej wdzięcznych.

Z mnóstwa ról epizodycznych i fragmentarycznych wymienić trzeba przedewszystkiem Borowską, Świerczewską, Fabisiaka i Sochę.

**Teatr Nowa Komedja: „Firma” — komedja w 3-ach aktach Marjana Hemara. Reżyserja St. Perzanowskiej. Dekoracje Wł. Daszewskiego.**

Jeżeli pierwszy utwór nowopowstałej sceny ma być charakterystyczny dla tego teatru, to będzie on podobny do nory niedźwiedzia, który zmęczony latem, postanowił odpocząć pod przykrytą śniegiem ziemią.

Takich niedźwiedzi jest w Nowej Komedji aż para: chluba sceny polskiej, Stefan Jaracz, i jedna z najwybitniejszych artystek naszych — Marja Modzelewska. Modzelewska grała już niejednokrotnie bląhą Jill, a Jaracz grywał różne i niewiele warte role. Ale były to interwale, pomiędzy którymi przychodziła do głosu godna ich talentu sztuka. Założenie własnego teatru pod literacką firmą Hemara zdaje się oznaczać rezygnację z całego sezonu. Artyści nasi lubią ubolewać na dyrekcje, które marnują im sezon. Tym razem mamy do czynienia jakoby z programem zawieszenia artystycznych aspiracji na kolku. Miejmy nadzieję, że kolek się znudzi i urwie. A wówczas dziesięć teatrów poważnych w całej Polsce przyjmie znakomitą parę aktorską z otwartymi rękoma.

Droga od własnego Ateneum do własnej Nowej Komedji nie jest bowiem drogą na miarę Stefana Jaracza.

W. Zawistowski



Junosza Stępowski — Robespierre



Samborski — Danton

PRZEGLĄD PRASY LITERACKIEJ

Liczba mnoga rzeczownika „prasa” — to oczywista przesada Prasy literackiej niema w Polsce. Literatura korzysta z gościnności pism codziennych lub czasopism, zasadniczo innym celem poświęconym. Panuje tu wszechwładnie prawo przypadku. Gdy się u nas mówi „polityka literacka”, to się rozumie politykę w literaturze, lub zgola t. zw. kiperstwo literackie wedle partyjnego kluca.

Stosunek redakcyj do ich literackich odcińków (czasem „dodatków”), naogół jest pobłażliwy. Przyrządza się je dla honoru do mu, na niedzielę i święta. A i to dobrze gdy jest ambicja, żeby robiły honory, a więc pewna bezinteresowność redakcyjnych pobudek. Najczęściej jednak za ofiarowany sobie kątek w dzienniku żąda się od literatury wysługi. Wiecznie ta służba! Tylko przedtem wysługa dla spraw ogólnych, globalnych, „patetycznie-kosmicznych”; dziś przeważnie — personalnych, zakulisowych, „obozowych”.

Będziemy tu usiłowali wylawiać i podkreślać publicystyczne dobro literackie, aby nie mijalo wraz z dniem codziennym, będziemy również przyglądali jawne lub ukryte szkodnictwo. Będziemy lojalni, lojalność będziemy wymagali od naszych dyskutantów.

Z ostatnich publikacji zastanawia artykuł p. Piaseckiego w ABC (z dn. 24. IX. 33) o książce J. N. Millera. Dawno nie czytało się takiego pomieszania pojęć na temat uniwersalizmu, imperjalizmu, nacjonalizmu i komunizmu. Zresztą autor artykułu dzieli tu winę z autorem książki, a może wogóle od grzechów tego ostatniego zaczęły się grzechy pierwszego. Obaj stali się ofiarani sztywnych doktryn, które miały uprościć a złośliwie komplikowały zadanie. P. Miller z „wyznania” jest uniwersalistą, ale z temperamentu typowym imperjalistą, indywidualistą i personalistą, wskutek czego program sobie a on sobie. P. Piasecki zaś wyznaje nacjonalizm i chciałby za wszelką cenę przyhołubić błaznącego p. Millera pod skrzydła swego obozu. Narazie mówi się o pokrewieństwach ideowych. W epoce „zarazy”, na kilka lat przed epoką „ruin” Grenady, p. Miller stanowił swego rodzaju bête ferace dla obozu politycznego p. Piaseckiego. Czasy się zmieniły; dziś pogromca Grenady zaczyna się „przecierać” narodo i mógłby zostać hospitantem tego obozu, ponieważ 1) potępia komunizm, 2) propaguje myśl, że świadomość grupy wciela się w jednostkę, no i... 3) żywi kult dla imperjalizmu.

Czy p. Piasecki nie nazbyt upraszcza sobie zadania w uporczywej chęci użytkowania impulsów p. Millera na rzecz nacjonalizmu?

W temże piśmie ukazała się publikacja wstępna p. t. „Urządowanie kultury”. Przez długie lata każde pismo uważało za swój obowiązek ciężko wyrzucać państwu, że nic nie robi dla kultury. Gdy jednak państwo zaczęło coś robić, dotychczasowi utyskiwacze poczuli się obrażeni. Pierwsze wystąpiło ABC, nagrywając nowe żale pod starą melodię i przestrzegając opinję przed grożącym kulturze „wielkim niebezpieczeństwem”. Nie występujemy tu rzecz prosta, w imieniu państwa, nie jesteśmy tak „urządowieni” jak to sobie wyobraża ABC, niemniej interesuje nas zagadnienie wywietrzonego niebezpieczeństwa.

Na czym ono polega, autor artykułu nie pisze, pewno wogóle o tem nie myślał, i chyba na szczęście dla siebie, bo gdyby pomyślał, toby nie napisał i stracił efektowną okazję do wystąpienia. A oto tylko chodziło. Bo cóż znaczy owo niebezpieczeństwo, płynące z udziału państwa, w rozwoju ośrodków kultury?

Czy ABC lęka się, że np. teatr, broń Boże, będzie miał zapewnione podstawy materialne i wskutek tego każe dla rządowych celów przerabiać Przybyszewską, Szekspira,

Rostworowskiego, Rittnera czy Anczyca? A instytucje muzyczne — że zmuszą Szymanowskiego, Morawskiego, Różyckiego i in. do pisania sanacyjnych symfonij? Ze wreszcie w piśmie literackim pp. Nalkowska, Berent, Staff, Irzykowski, Chwistek, Bystron, Suchodolski i in. będą „przekuwali” wartości intelektualno-artystyczne na propagandę partyjną? Dzieje się tak wprawdzie we wszystkich bez wyjątku dodatkach, odcinkach i wycinkach literackich pism endeckich, nie należy jednak wszystkich sądzić „po sobie”.

ABC „na uparteo” zgodziłoby się już na rządowe metody sowieckiego, faszystowskiego i hitlerowskiego ujarzmania kultury — bo tam dzieje się to z „ideą — złą czy dobrą, ale ideą”. Nam wydaje się to wyznaczenie nazbyt bezmyślne i cyniczne. ABC znajduje słowa usprawiedliwienia nawet dla „złej idei”, byle z tego kulturalnego stanowiska znaleźć okazję do kompromitującego sztyderstwa, że rząd polski niema n a w e t takiej idei. Nam wystarczy, że ideą państwa w tym wypadku jest poparcie idei teatru, muzyki, literatury — „jako takich”.

NA EKRANACH KAWALKADA

Typ dobrej, spokojnej literatury filmowej. Posiada wszystkie cechy przeciętnej powieści angielskiej — brak momentu kulminacyjnego, zamiast stopniowania, umiejętne rozczłonkowanie emocji — oraz operowanie typami zamiast charakterów.

Treścią filmu są dzieje zamożnej rodziny angielskiej na tle pierwszej połowy XX wieku (a więc mała epopeja) — dzieje zilu strowane na ekranie. Bo film ten nie posiada właściwie kompozycji — możnaby zacząć jego wyświetlanie od momentu późniejszego, czy przerwać na wcześniejszym — bez większej szkody dla całości. Składa się on poprostu z szeregu dobrze ale mało kinowo pomyślanych obrazów. Sposób ich łączenia za pomocą wstawki z kawalkadą w strojach stylowych, jest bardzo mało przekonujący i nie wiąże się z treścią. Jest dużym brakiem filmu, że poszczególne obrazy nie wypływają z siebie bezpośrednio i że reżyser nie znalazł bardziej kinowego sposobu dla wyrażenia czasu. Nawet niemożliwie zbanalizowane ukazywanie kilkakrotnie opadających liści, czy zakwitającej jabłoni, jest w swej naturze bardziej kinowe; a w tym filmie, będącym pogięką „kroniką rodzinną” istnieją przecież nicograniczone możliwości z zakresu świadectw szkolnych, ilości świeczek na urodzinowym torcie, czy nawet wreszcie pism i kalendarzy.

Zwłaszcza, że wyraz czasu w stylu poszczególnych obrazów zachowany jest bez zarzutu. I pokazany ładnie. Reżyser umiał uniknąć łatwej groteski w stosunku do mianonej mody — i tem ułatwił nam współzycie z bohaterami tej małej epopei.

Niektóre scenki (pogrzeb królowej, wizyta lady u Ellen, taniec małej Fanny) mają rozczulający wdzięk starych ilustracji, do angielskich książek dzieciennych. Na specjalną uwagę zasługuje potraktowanie scen wojennych. Ten skrót kinowy jest naprawdę dobry. Stopniowe słabnięcie entuzjazmu i, że tak powiem, bufonady wojennej, wyrażone w rytmie zanikającej piosenki maszerujących żołnierzy i twarzy śpiewających dziewcząt, jest potraktowane prawdziwie kinowo.

Jeśli chodzi o treść literacką — łatwo tu może zająć nieporozumienie. Nieporozumienie, wywołane tem, że sympatyczna a osierocona para na zakończenie wygłasza małą mówkę pacyfistyczną do publiczności i tem nadaje filmowi charakter niejako programowy.

Oczywista pomyłka. Pacyfizm jest piękną rzeczą — ale ta mała przemowa psuje film i dezorientuje widza. Gra artystów doskonała.

KRONIKA

„Na skalach” (On the rocks) — oto tytuł nowej sztuki Shawa. Ma ona charakter polityczny. Ukaże się w jednym z popularnych teatrów londyńskich, ponieważ Shaw stwierdził, iż wykwnitna publiczność, uczęszczająca do drogich, luksusowych teatrów przyjęła jego poprzednie dzieło („Zbyt prawdziwe, aby było dobre”) — raczej chłodno, podczas gdy sztuka ta, poza Londynem, zdobyła duże powodzenie, np. w Manchesterze.

Pisarze niemieccy, wydalenii ostatnio z Niemiec współpracują w Paryżu w nowopowstałym piśmie „Die Sammlung” pod redakcją Klause Manna. Współpracownicy: Max Brod, Alfred Döblin, Alfred Kerr, Hermann Kesten, Emil Ludwig, Heinrich i Thomas Mann, Joseph Roth, René Schikelle, Ernest Toller, Jakób Wassermann, Arnold i Stefan Zweig.

Śmierć ks. Henryka Bremonda stała się okazją do szeregu artykułów poświęconych działalności pisarskiej wybitnego myśliciela i krytyka. Podkreśla się w nich zwłaszcza wartość „Historji uczucia religijnego we Francji”, będące prawdziwym drogowskazem dla studujących naszą epokę. Studując współczesność, nie możemy nie zahaczyć o Bremonda.

Autor głośnej powieści „Le Voyage au bou de la Nuit”, L. F. Céline ogłosił obecnie drukiem komedię p. t. Kościół (l'Elglise), będącą zjadliwą, pełną ironji rewją współczesności. Akcja toczy się w Afryce, Nowym Jorku, w Lidze Narodów i na przedmieściach Paryża.

André Cide — jako autor filmu. Szeregi pisarzy, którzy zajmowali się pisaniem scenariuszy powiększył André Gide, współpracując przy realizacji scenariusza, będącego przeróbką powieści Vicki Baum.

Ciekawą charakterystkę postaci Szekspira przynosi artykuł Jana Schlumbergera w „Cahiers du Sud”, poświęconym teatrowi elżbietańskiemu. Ludzie, przesuujący się prze dnami w dramatach Szekspira, nie przedstawiają nam się inaczej, jak osobowości prawdziwe, podpatrzone przez nas w patetycznej sytuacji. Nie masz tam prawie typów: same indywidualności, nie dające się sprowadzić do żadnego szablonu. Jest to zupełnie przeciwieństwo do dramatów np. Racine'a, gdzie postaci są raczej pewnymi typami, ujętymi z zatarciem cech indywidualnych, które wyróżniają je spośród innych.

Nieprędko zdobył sławę i rozgłos znany dziś pisarz angielski, Wiliam Somerset Maugham! W przeciwieństwie do takiego np. Noëla Cowarda (autora scenariusza wyświetlanej obecnie „Kawalkady”). Maugham zdobywał popularność bardzo powoli i opornie. Pierwsza jego książka ukazała się w roku 1897, t. j. na osmnaście lat przed utworem, który dał mu wreszcie pożądaný rozgłos” (Of Human Bondage r. 1915).

Człowiek i praca. Zagadnieniu temu poświęcony jest numer lipcowy miesięcznika „L'Esprit”, przyczem bardzo zajmujące są wywody Jana Plaquevent, który zajmuje się przeglądem historycznym pojęcia pracy. Zaczyna od starożytności, kiedy to praca była uważana za coś poniżającego. Zupełny zwrot widzimy dopiero w XVIII wieku. Powstaje istna mitologia pracy. Ewolucja ta wynika naskutek szeregu wpływów, wśród których ważną rolę odegrało bogacenie się. Praca uszczęśliwiała, wzbogacała człowieka. Również kościół (encyklika Rerum novarum) określa pracę jako czyn godny szacunku. Obecnie spodziewa się autor dalszej ewolucji w kierunku chrystjanizacji życia.

RECENZENCI

W pekińskim perjodyku „Myśląca stolica” jęli się recenzenci krytyki książki:

Pierwszy — konfucjonista i krytyk „na oko” — orzekł, że — owszem — dobrze, ale — zawysoko.

Na to drugi, snowając z argumentów wszystko co mógł, stwierdził przeciwnie, że właśnie zbyt blisko.

Trzeci zaś pobierawszy wszystkie za i przeciw zdecydował, że w sam raz, ale — słabo świeci.

Wówczas czwarty — luminarz, krytyk z wielką sławą — dowiódł wnet umiętnie, że lśni zajaskrawo.

Piąty as, chcąc dyskusji tej uczynić koniec, źródłowo przekonywał, że nie lśni, a płonie.

Niestety szósty zaraz zapragnął ustalić, dlaczego, skoro polnie, dotąd się nie spalil.

I już siódmy się z ósmym nie umiał pogodzić, — co, jeśli się nie spala, może księżyc chłodzić.

Dziewiąty nawet dzieła z Paryża sprowadzał, by dowieść, że nie wodą księżyc się ochładza.

Uparł się więc dziesiąty po debacie walnej, że obiekt jest napewno z substancji niepalnej.

Logicznie jedenasty zoczył błąd niemały, że skądby płonął, jeśli byłby ogniotrwały.

Radził zatem dwunasty wrócić do początku istoty zagadnienia, — do głównego wątku.

Sprowadzić trzeba kwestję — mówił — widzi mi się, do podstawy rozważań, — czy blyszcy, czy lśni się.

Mówił potem trzynasty, czternasty, piętnasty, i znów szósty i siódmy, piąty i dwunasty,

Dziewiąty, siedemnasty, czterdziesty i trzeci, i jeszcze dziewiętnasty — stu. A księżyc świecił...

(S. r. d.)

**NOWOŚĆ**  
Wydanie o charakterze bibliofilskim z drzeworytami St. Ostoji-Chrostowskiego  
**J. MALINIAK**  
**Tytoń w dawnej Polsce**  
Cena Zł. 6.—  
Egzempl. numerowane i podpisane Zł. 10.—  
**M. ARCT — WARSZAWA**

**DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ**  
Hurtownia  
dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc.  
w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8  
przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarzom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.  
WYDAJE PISMO REKLAMOWE DLA KSIĘGARZY P. T.  
**„KURJER KSIĘGARSKI”.**

KONCEJ. JEDNOROCZNA KOEDUKACYJNA WIECZOROWA  
**SZKOŁA REPORTERÓW**  
DZIENNIKARSKICH  
WARSZAWA, PIJUA XI N:10 • SEKRETARIAT OD G. 4 PP.  
ZAPISY TRWAJA PROSPEKTY BEZPŁATNE

Redakcja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590.  
Administracja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.  
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.

Redaktor: Tadeusz Świącicki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10

Wielkość  
Cena  
Lublin